PRZEŻYCI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

napisał

NUL.

TOM PIERWSZY.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

1879.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Марта (5 Апрѣля) 1879 года.

W Drukarni „Przeglądu Tygodn.", ulica Czysta № 2.

I.

— Pan hrabia prosi!

I liberyowany sługus usunął się na stronę. Witold stanął w progu obszernej komnaty, której ściany zastawiono szafami i półkami pełnemi w nieładzie nagromadzonych książek. Lubo dzień jeszcze świecił w pełni, tu już zamknięto okiennice i zasunięto sztory, a wielka u powały zawieszona lampa, przyćmiona zielonym daszkiem, rzucała tylko jasny krąg światła na obszerny w środku stojący, papierami zawalony stół okrągły. W wysokim, safianem zielonym wybitym fotelu, pogrążał się młody jeszcze mężczyzna, z utkwionym w rozłożoną wielką księgę wzrokiem. Bladą, nieco zmęczoną twarz jego, okalały pukle bląd włosów, a dobrze zaczesane długie bokobrody i staranność stroju neglizowego, dodawały mu pozoru dystynkcyi, jaka czasami wyróż-

nia ludzi bogatych i przywykłych do dobrego bytu, zwanego dobrym tonem. Na odgłos otwierających się drzwi, podniósł od kart książki swe jasne, pełne dobroci lecz nieco zalęknione oczy i niewstając, wyciągnął białą, dobrze wypieszczoną rękę do przybyłego.

— To ty Witoldzie — nie widziałem cię jeszcze dziś... Te moje książki zbyt dużo mi czasu zajmują, czuję to, ale nie mam siły oderwać się od tych papierzysków.

— Nieodrywaj się kiedy ciekawe, a zdrowie ci służy...

— Jakiś ty zawsze praktyczny... bądź spokojny, przywykłem do pracy, zżyłem się z bibułą i lepiej mi tu w tej salce niż gdzieindziej. Ale podobno chciałeś ze mną się widzieć? Wracasz od Brobka?... mówiłeś z nim?

Czoło przybyłego okrywały chmury, pytanie zsępiło je bardziej.

— Byłem — rzekł powoli — rozmawiałem i dla tego przyszedłem się z tobą mój Stefanie zobaczyć.

— Nieprawda, człowiek to pełen dzielności? niepospolity z niego gospodarz i prawnik, a przytem praktyk, gdy go poznasz bliżej, ocenisz lepiej.

— Może — przez ściśnięte zęby sucho wycedził Witold; siedzący podniósł oczy z pewną trwogą, jakby poczuł oddźwięk zaprzeczenia w tej krótkiej odpowiedzi brata.

— Zresztą nie chodzi mi tu o Brobka, ale o porozumienie się z tobą, ciągnął dalej przybyły. Są bowiem sprawy, rozumiesz to dobrze, które nam trzeba ogadać w cztery oczy.

— A mój Witoldzie, bez Brobka nie damy rady... przynajmniej ja. On wszystkie interesa zna lepiej niż my obydwaj. Jak wiesz ojciec używał go wszędzie, oddał mu zarząd, gdyś ty bawił w Instytucie, a jam pracował w zaciszu mych książek. Widzisz, u mnie praca jest namiętnością, ja bez niej nie wyżyłbym. Uśmiechnął się i rzekł po chwili: No dodaj trochę próżności literata.

— Doprawdy nie potrzebnie się usprawiedliwiasz, praca twoja zawsze była w mych oczach godną szacunku.

— Istotnie tak myślisz?! to dobrze, widzisz bałem się trochę abyś ty, człowiek praktyczny, nie wyśmiał mię jako marzyciela.

— Nigdy się nie śmieję z pracy, a praca około dziejów, tak jak około każdej nauki, godna szacunku.

— Myślałem że ulegasz temu pospolitemu dzisiaj krzykactwu, które naszą przeszłość i jej zbadanie rade by sponiewierać i obedrzeć z uroku. A widzisz powinno być przecież inaczej! Przeszłość to nasza spuścizna; ta przeszłość była wielką, wspaniałą, w niej klucz zagadki przyszłości.

— Niezawodnie, bylebyśmy ją umieli trzeźwo widzieć i niezasklepiali się tylko w uwielbieniu.

— Nie, nie... ale ją trzeba poznać w najdrobniejszych szczegółach, bo to szata nadzwyczaj wspaniała, senatorska, pełna splendoru, dziś jeszcze nią okryci możemy świecić bogato.

— Gdybyśmy do miary dorośli...

— W niej też i źródło potęgi, ona podtrzymuje tradycyą.

Witold westchnął.

— Bogdajby tak było mój Stefciu, trzeba przecież abyśmy nadsłuchiwali tego głosu tradycyi, który nam mówi o prawnej swobodzie, o pracy, o obowiązkach i który radzi kroczyć na równi z duchem czasu, inaczej nie utrzymamy w swych rękach dziedzictwa jakie nam po ojcach zostało.

Stefan znowu spojrzał na brata i sposępniał, a po chwili jakby przerywając rozmowę na niemiłe mu wchodzącą tory, odezwał się:

— No aleśmy odbiegli od rzeczy — więc ci Brobek objaśnił wszystko, wyłożył całą sprawę?

— Tak i namyśliwszy się nad tem co mi pan komisarz powiedział — przyszedłem do wniosku, że się na jego projekta żadną miarą zgodzić nie możemy.

— Nie możemy? Dla czego?!

— Dla tego... dla tego mój Stefanie... że nie możemy. Nawet mię dziwi że zadajesz to pytanie, ty?

— Widzisz... nie wiem czy ci Brobek dobrze wszystko objaśnił; przecież na tem nikt nie straci, a my Lipie oczyścim, podniesiem kredyt. Ty jako praktyk, człowiek pozytywny, powinienbyś to ocenić najlepiej.

— Nie łudźmy się dobrowolnie. Ja zbadałem nasze położenie.

— I cóż?

— Żeby się utrzymać przy Lipiu jest tylko jeden środek: ułożyć się z wierzycielami i pracować, pracować do urobienia rąk....

— Brobek ci musiał przecież powiedzieć że układy są niemożliwe.

— W takim razie nie mówmy o zatrzymaniu Lipia.

— Jakto nie mówmy... ja Lipia z rąk nie wypuszczę. Trzymaliśmy go lat trzysta w rodzie. Zresztą wszystko wymaga abyśmy szlachta siedzieli przy ziemi....

— Twoja historyozoficzna teorya jest prawdziwą w ogóle, błędną w szczegółach, mianowicie wtedy gdzie zachodzi istne utrzymania się przy wiosce niepodobieństwo.

— Dla czego? Brobek sądzi przeciwnie...

— Dla tego — wymówił Witold zwolna, że układy z wierzycielami są nie możliwe, a sposób proponowany przez Brobka byłby nieuczciwy.

Na twarzy Stefana buchnął rumieniec, potem pokryła ją bladość.

— Powiedz mi Witoldzie, a głos mu drżał ze wzruszenia, czyż ja do popełnienia nieuczciwości sposobny, czyż nie znasz mnie, czym zasłużył czemkolwiek na taką wymówkę?

Witoldowi żal się zrobiło brata.

— Ależ mój Stefciu, stokroć nie i jeślim się odezwał za żywo, przebacz. Niemniej plan Brobka jest w zasadzie fałszywy. Zastanów się tylko, on chce abyśmy się ratowali podstępną licytacyą.

— Niedobrze go zrozumiałeś, chcemy tylko dopuszczeniem do licytacyi zarządzonej przez Towarzystwo kredytowe, oczyścić hypotekę, zacią-

gnąć nową pożyczkę; z pożyczki tej spłacimy co pilniejsze długi dobrowolnie — na rękę każdemu wierzycielowi, resztę sum użyjemy na podniesienie gospodarstwa.

Witold smutnie potrząsnął głową.

— No jeżeli to tak, to niech Brobek zaproponuje wierzycielom, aby dobrowolnie ustąpili z hipoteki.

— Żaden na to nie przystanie.

— Dobrześ powiedział i to rozstrzyga nasz spór. Krótko mówiąc położenie jest takie: oprócz Towarzystwa i sumy Zosi— około stu osiemdziesiąt tysięcy w sumach drobnych. Wiesz jakim sposobem te długi zostały zaciągnięte. Pieniądze dano więcej na słowo, na wiarę w uczciwość naszego ojca niż na hipotekę. Jednak ojciec wszystko uregulował, wszystko zahipotekował, wszystko ubezpieczył. I zrobił według mnie dobrze — uczciwością bowiem jest to, aby nie spuszczać się na własne słowo, na nieokreślony wypadek, ale swym zobowiązaniom kłaść istotne podstawy. Dziś wiele z tych sum stało się wymagalnych — więc starać się o zastąpienie ich innemi...

— Wiesz ile kredyt upadł... kto dziś co da nam szlachcie?!

— Więc sprzedać Lipie z wolnej ręki.

— Brobek mówi że i w takim razie część sum spadnie, a my wyjdziemy z torbami.

Zapanowało milczenie.

— O mnie mniejsza, przemówił Witold, jestem młody, mam drogę otwartą do pracy, to coście łożyli na moje wychowanie sowicie spłaciło mi schedę.

— Chcesz powiedzieć co będzie ze mną, niedołęgą! Przywykły do tej trochy wygódek, zasklepiony w swych książkach i pracach bez którychbym wyżyć nie mógł — co zrobię? O mylisz się Witoldzie gdy sądzisz, że mi oto chodzi jeśli pragnę rodzinne gniazdo zatrzymać. Mniejsza o mnie — mogę się jeszcze ograniczyć na czemś skromniejszem. Ale patrz, Lipie ta nasza familijna kronika, to nasze gniazdo rodzinne! Szlachecka fortuna mierna — ale nieskazitelna, bo z dziada szło przykazanie trzymać się zagona! I dziś, kiedy wszystko wzmacnia ten nakaz, kiedy wola ojców prawem się już staje, ja, ja mam przeciw niej iść, ja mam oddać w obce, może bardzo obce ręce ten kawał ziemi, z którego łona wszystko do mnie woła głosem miłości! O mój Witoldzie, ty długie lata przebywałeś między obcymi, może

trochę wychłódłeś, może nawet patrzysz lepiej, zdrowo, ekonomicznie, ale spojrzyjno oczyma serca. Słyszysz ten dzwonek... woła pod sklepienie tego kościołka, gdzie spoczywają prochy naszych dziadów. Patrz na ten lipnik za dworem tam sześć pokoleń po sobie używało wczasu po znojnej pracy, czy to dla pospolitego dobra, czy też koło gleby. I ja co to wszystko kocham, czczę, do czegom się przywiązał od dziecka, i ja to wszystko mam rzucić, opuścić, w cudze oddać ręce? O mój Witoldzie!! I Stefan wzruszony, drżący zakrył dłońmi pałającą twarz i załzawione oczy

Cisza panowała w pokoju, słychać tylko było dzwonek kościołka, bieg zegara i bicie dwóch męzkich serc w piersiach.

Witold był niemniej wzruszony; ktoby jednak spojrzał w ciemne długiemi aksamitnemi rzęsami przysłonięte oczy, nie ujrzałby tam wilgoci łzawej — ale ten palący się ogień co wewnętrznego bólu jest promieniem. Dobrze zatoczone i siłę woli znamionujące brwi ściągnęły się, na gładkiem czole osiadła groza purpurowego rumieńca.

— Mój Stefciu! przemówił po chwili głosem, którego zwykłą energię pokrywał ton głębokiej czułości — czyż ja również nie kocham tego na-

szego kąta, czyż pracowałem nie w słodkiej nadziei zastosowania tego czegom się nauczył do tej drogiej mi ziemi?... Więc nie spieszmy z decyzyą, szukajmy środków i sposobów wydobycia się z trudności położenia. Nie zakładajmy rąk trwożliwie i bezczynnie. Dobrze... zgoda — tylko z temi planami Brobka — precz! Daleki od praktycznych interesów wystawiasz je sobie w fałszywem świetle...

— Przecież na wszystkie strony staraliśmy się o pożyczkę — napróżno!

— Ponowimy starania .. mamy rok czasu przed sobą. W każdym zaś razie nie wspominajmy nawet o projektach Brobka! Bo tylko posłuchaj Stefanie — Witold wziął brata za obie ręce — Czego on chce? a przedstawię ci jego myśl oskubaną z frazesów. Lipie nie płaci rat — Towarzystwo wystawia je na sprzedaż, z obywatelstwa nikt nie staje, bo obywatelowi nie godzi się konkurować z bratem sąsiadem — tak mówicie. Wierzyciele hipotecznych sum także nie staną, bo to są biedacy, oczekujący na swój grosz, na swe schedy, zkąd im się porwać na kupno dużego majątku. A więc staje opieka małoletniej Zosi i na jej imię kupuje Lipie — a reszta sum spada!

— Nie! nie spada!

— Tak zapewniacie wszystkich wierzycieli — czem? słowem waszem. Co im dajecie za dzisiejszą prawną pewność? Waszą obietnicę nie stwierdzoną nawet skryptem, bo go dać nie możecie.— Czy to dosyć? Czy ci ludzie mogą na to przystać i być zadowoleni. Czy nie powiedzą że ich oszukano, że ich zgubiono? Spojrz tylko Stefanie w przyszłość: do każdej z tych drobnych sum, do każdej kwoty wiążą się zamiary, projekta, nadzieje czyjeś. Ten wyposażyć ma córkę, ów ułatwić karyerę synowi, inny rozwinąć zamierza swą fabrykę... urządzić ciepłe domowe ognisko, innemu jest to ostatni fundusz do życia. Dziś oni w swe marzenia, w swe projekta wierzą, bo na straży stoi prawo. A jutro jaki zawód ich czeka? Wszystko to zburzone, potrzaskane: zamiast wiary w życie— zniechęcenie, zamiast nadziei — rozpacz i przekleństwo. Powiedz mi teraz, czy mógłbyś obciążony tą hańbą, spojrzeć spokojnie w przeszłość?— co by rzekły cienie naszych ojców: zostawiliśmy wam puściznę naszą krwią, naszym potem zdobytą, puściznę czystą i niesplamioną, nieobciążoną ani jedną łzą, ani krzywdą — a wy jakąż utrzymaliście ją ceną?

— Czyśmy mój Witoldzie temu winni?

— Tak, nie winni... my dwaj; ale nie będziemy z win rozgrzeszać nikogo. Każdemu sędzią niech będzie sumienie. To tylko wierzę, że głos tradycyi może nam powiedzieć: każdy czas ma swoje prawa. Co się nabywało krwią, wysługą pospolitemu dobru — dziś się kupuje pracą osobistą. Zdrowych rąk, rozumnych głów, woli... a nie tylko nie zejdziemy z zagona, ale go przymnożymy. Nigdy zaś za cenę krzywdy!

— Kto jej żąda! — ja jej nie dopuszczę!

— Nie wątpię. Więc stanęło.

— Ale mój Witoldzie, działaj ostrożnie, rozważnie, poradź się z Brobkiem, on bardzo praktyczny, bardzo doświadczony, znajdziecie inny plan lepszy.

— Dobrze, dobrze.. pomówię, naradzę się z panem komisarzem.

Witold przeszedł się kilkakrotnie, starannie wymijając rozłożone na ziemi papiery.

Stefan dodał:

— Ah jestem doprawdy spokojniejszy, kamień mi spadł z piersi, gdy ty się tą sprawą zająłeś. Co prawda byłem nieco wzburzony, jakoś sam z sobą w niezupełnej zgodzie. No jakoś to będzie.

Swobodniej się teraz moim papierom oddam. Wiesz, odszukałem dawną korespondencyę Pana Wojewodzica, cała paka listów. Skarby, skarby najcenniejsze... rzucą one nowe światło na historyę początku zeszłego wieku, a ile dat nam przybędzie! Poczciwy Bartoszewicz zżółknie z zazdrości, iż taka gratka mnie, a nie jemu się dostała. Przeszło trzysta listów! mam nawet plan na podstawie tej korespondencyi zrobić coś obszerniejszego...

— Słusznie, jeżeli tylko materyał da się krytycznie obrobić, odparł Witold machinalnie.

— Niezawodnie, przybędzie mnóstwo szczegółów, sprostuje się wiele błędów, pomnoży dat. Ty nie uwierzysz co to za radość odkrywać te światy nieznane, zasypane kurzem, przywalone, a takie piękne, takie inne, swobodne, ożywione wielkiemi uczuciami...

— Czy myślisz że większemi niż dziś?

— Niezawodnie.

— Ja myślę inaczej. Z rozszerzeniem się poglądów wyszlachetniało uczucie. Dziś więcej serc bije, liczniej zrzekli się ludzie partykularnego egoizmu.

— A nie mów tego, dziś wasz merkantylizm, realizm, pozytywizm zabija wszystko. Świat jest teraz chłodny, wystygły, przeżyty.

— Tego nie widzę. Owszem zajrzyj w głąb młodzieży znajdziesz cnót i poświęcenia niewygasły płomień. Krzątają się, poświęcają w ciszy, pracują na własnych warsztatach wśród najtrudniejszych warunków — czegóż chcesz więcej?

— Serca mój kochany, serca, tego co to biło jak na dłoni, a nie tego co bije pod rachubą, pod miarą.

— Już to wielkich frazesów — braciszku, od nas młodych nie żądaj. Wszystko w swoim czasie. Nam jedynie przystoi przemawiać czynem.

— A gdy pola do czynu brakuje.

— Nigdy go nie brakuje, trzeba tylko umieć na każdem polu skutecznie pracować, a horyzonty się rozszerzą. Czyż w twoich badaniach dziejowych nie zdarzyło ci się to zawsze, iż jakiś dilemat ciemny zrazu, stawał się jasnym gdyś pracą zgromadził odpowiednią ilość faktów i szczegółów, które skombinowane rzucały nowe światło, rozpraszały mroki? Doprawdy dzieje się toż samo z pracą ogólną. Każdy u nas chce wieńczyć szczyt budowy, a nie każdy znosi cegłę na fundament, co to u spodu, w ukryciu ma spoczywać

Nasze pokolenie chce cicho pracować — i tylko pracować.

— No, no, ja nie przeoczam tego. Wyście ludzie praktyczni, czynni; trochę od was chłodem wieje, trochę was się boję abyście ducha nie zagasili... ale...

— Każdy pójdzie naznaczoną koleją, aż w końcu obrachują się zasługi. To rzecz twoja Stefanie jako historyka — patrz tylko dobrze i rachuj z kredką...

— O! rachować, ważyć, mierzyć... to właśnie nie moja rzecz — zaśmiał się Stefan, to twoje dziedzictwo, to państwo Brobka. Ale ale... byłeś już u Wysokopolskich?

— Byłem tam kilka razy, chcesz bym ci co o pannie Ernestynie powiedział. Dziwi się że ty rzadko ich odwiedzasz.

- A czy ja mam czas... ledwo się zajęciom opędzić mogę.

— Zapewne, zagrzebawszy się w tych listach wojewodzica.

— E... nie żartuj.

— Wcale nie, ale tak naprzykład przejażdżka do sąsiadów, wcale by ci nie zawadziła. Wybieram się konno, jedź ze mną.

— Jedź, jedź... tyś młody, tobie to potrzebne, ja tu zostanę z temi szpargałami. Właśnie odczytuję jeden z dokumentów, ważny... bardzo ważny...

Ale Witold z uśmiechem już stał we drzwiach.

— Oni nie pojmują uroku, jakim przemawia głos przeszłości do tych, którym teraźniejszość smutna. Dobrzy z nich ludzie — ale pozytywiści — westchnął Stefan zcicha.

II.

Zaledwo Witold opuścił próg bibioteki, uśmiech co mu jak tęcza śród burzy drgał na ustach, pierzchnął — a smutek, głęboki smutek zbruździł pobladłe czoło. Dla Witolda ani na chwilę nie było wątpliwem majątkowe położenie. Nie szło mu o siebie, czuł się dosyć uzdolnionym do walki o byt, patrzał jasno i praktycznie na stosunki świata, ale bolał nad bratem, który zatopiony w książkach nie miał najmniejszego wyobrażenia o warunkach codziennego życia. Nie tylko widział zachwiane podstawy istnienia, ale historyozoficzną misyę Stefana, który się poczuwał do obowiązku utrzymania ojcowizny — zdmuchniętą

całym realizmem rzeczywistości. Cóż mógł żelaznej konieczności losu przeciwstawić ten człowiek słaby, marzący, zagrzebany w pyle papierów? Niegodny podstęp podsunięty przez nieuczciwego sługusa? Witold oburzał się przeciwko tym drogom krętym, gdzie sumienie działa według litery prawa a nie prawdy. Układy z wierzycielami były niemożliwe, a w pomoc obcą nie wierzył, mimo że do tej pomocy nikt może nie miał tylu praw co Saryusze. Niegdyś dygnitarska o magnackiej fortunie rodzina Saryuszów, z końca zeszłego wieku wyniosła wieś dziedziczną i tradycyę cnót obywatelskich. Tej tradycyi był nieposzlakowanie wiernym pan Tadeusz Saryusz, ojciec obu braci których rozmowie byliśmy obecni. Urodzony w dzień Racławickiej bitwy, otrzymał imię na cześć jej bohatera. To go obowiązywało całe życie. W osiemnastym roku był ułanem; później dowodził oddziałem, na umundurowanie którego sam łożył koszta. Gdy się uciszyła zawierucha, pan Tadeusz powróciwszy ze stron nieblizkich, osiadł na owej wiosce i oddał się cały na usługi obywatelstwa. Nie było sprawy w powiecie którejby nie przewodniczył. On prowadził wraz z komitetem szar

warkowym drogę, która przecięła okolicę i ożywiła handel, on był sędzią pokoju i sędzią polubownym wszystkich poważnionych interesów sąsiedzkich; on przewodniczył większości rad familijnych, gdzie bronił wdowy i sieroty. Wszystko to przynosiło mu tysiące kłopotów; konferencye z prawnikami w nie swoich sprawach, przejazdy do powiatu i gubernii, sesye i zebrania pochłaniały uwagę i zabierały czas drogi. Z tego powodu stanowisko pana Tadeusza w obywatelstwie wspierało się na granitowej podstawie, a nieposzlakowana rzetelność wyrobiła mu nieograniczone zaufanie. I pan Tadeusz nie nadużył go nigdy, choć prywatne jego interesa szły mniej pomyślnie niż sprawy ogółu dotyczące. Pan Tadeusz lubił gospodarkę i poczuwał całą jej ważność, zabierał się więc do niej po każdym powrocie do domu z zapałem, ale jak powszechnie mówiono: okoliczności mu nie sprzyjały, a istotnie czasu mu brakło na przeprowadzenie systematu, będącego duszą każdego gospodarstwa. Czuł potrzebę postępu, wprowadzał w gospodarstwo liczne ulepszenia i tym sposobem upowszechnił nie jedną pożyteczną nowość w okolicy, lecz to co sąsiadom wychodziło na korzyść, u niego koniec

końców odmienne wydawało skutki. Właściwie mówiąc, niedostawało w jego zarządzie stopniowania, brakło konsekwencyi w wykonaniu i wytrwałości w drobiazgach. Nie zapominał też pan Tadeusz o przemyśle, a korzystając z pokładów glinki, wzniósł fabrykę naczyń, która na kilku wystawach otrzymała za swe wyroby nagrody, ale nie mogła się utrzymać dla braku... odbytu; okolica konsumowała mało, kupcy zamiejscowi na nowy Zakład spoglądali nieufnie, wymagając długich kredytów, przyzwyczajeni do takiego trybu rzeczy praktykowanego przez zagraniczne fabryki. W parę lat zakład stanął pustkami, w kilkanaście ruiną; pokazywano go w okolicy palcami jako dowód odstraszający obywatelstwo od przemysłu. Właściwie fabryka się nie powiodła dla tego, że nie ustosunkowano jej rozmiarów do potrzeb, a kapitału nie obliczono do rozwoju i kredytu. Projektowano z góry na wszystko spoglądając przez różowe okulary i przedsięwzięcie runęło, pochłaniając znaczne sumy.

Otóż w tem może leżało najgorsze złe, że całe dążenie do ulepszeń, do przemysłu, wypływało u pana Tadeusza z poczucia obywatelskiego obowiązku, a nie gruntowało się na środkach i cy-

frach. Pan Tadeusz bolał nad stratami, ale nie miał sobie nic do wyrzucenia, bo robił wszystko co na prawego przystało obywatela. Oskarżano rząd, społeczność, stosunki, żydów, chłopów — wszystko, nie domyślając się, iż brak podstaw realnych był powodem ruiny tych fantazyjnych zamków na lodzie.

Gdyby pan Tadeusz posiadał własne kapitały, wszystkie te doświadczenia mogłyby go tylko kosztować... pieniądze. Ale przychodząc do dziedzictwa, znalazł Saryusz wioskę wprawdzie piękną i obszerną, ale cokolwiek już obciążoną długami i ani grosza gotówki. Towarzystwo kredytowe posłużyło tylko do spłacenia wierzycieli, wszystkie zaś ulepszenia, wszystkie doświadczenia przedsiębrano za pieniądze wzięte na kredyt. A kredyt pana Tadeusza był nieograniczony. Gdyby zażądał, oddanoby mu wszystkie pieniądze powiatu. Posiadał nieograniczoną wiarę i dawano mu na słowo bez kwitu, bez żadnego zabezpieczenia. Ale p. Tadeusz inaczej na te rzeczy patrzał; więcej się troskał o dobro swych wierzycieli niż oni sami; pilnował aby każda suma zahipotekowaną była i niemal gwałtem zawoził do powiatu, opierających mu się serdecznych wierzy-

cieli. Z tem wszystkiem nie przewidział pan Tadeusz ani likwidacyi włościańskiej, ani reformy stosunków. Zgryzły go one okropnie i zwichnęły całe nadzieje w postęp rolniczy, w rozwój gospodarstwa, co więcej zaś, w przyszłość stanowiska obywatelskiego. Widział że trzeba było pracę rozpocząć na nowo — a do tego nie miał już siły. Zwątpił. Zrobił tylko bilans, który mu wskazał że wszyscy wierzyciele mają ewikcyę hipoteczną; odtąd zamknął wszystkie swoje czynności osobiste. Napróżno mu już proponowano pożyczkę — odrzucał propozycye stanowczo, szeląga nie pożyczył przyciśnięty najgwałtowniejszą potrzebą i osładzając sobie tylko posługami publicznemi życie, wśród niczem niezachwianego szacunku spoczął w mogile. Posługę ostatnią oddawało mu całe obywatelstwo, kraj cały niemal, a wszystkie uczucia były szczere, niewymuszone — zasłużone. W ostatnich latach pan Tadeusz już tylko konserwował stan interesów swoich; nie pogorszył ale i nie polepszał, gdyż całą w tej sprawie nadzieję przelał na młode pokolenie — na dwóch swych synów.

— To ich rzecz, mawiał — jam już za stary, oni lepiej zrozumieją swój czas.

I całą uwagę zwrócił na to, aby synom najodpowiedniejsze dać wychowanie. Lecz udało mu się tylko w połowie, tym więcej iż się zabrał do rzeczy nieco za późno. Starszy Stefan, natura marząca — wcześnie oddał się książkom, gabinetowej pracy. Przeszłość opanowała jego duszę i ucieka rad przed teraźniejszością, dla której zachował obowiązki jakie nań przeszłość wkładała. Ojciec był za zbyt surowy i za zbyt kochał kraj, aby się temu kierunkowi opierać.

— Tacy ludzie są nam konieczni, muszą być jak łączniki między dawnemi a nowemi czasami. Gdy wszystko zakipi przemysłem, liczbą, rachubą, co pokrzepi ducha — jeśli nie dzieje?

Więc też największa salka w Lipiu zamieniła się w bibliotekę, a w niej osiadł Stefan oddany swym szpargałom. Poczciwa szlachta z okolicy całemi pakami zwoziła mu listy, rękopisy, gazety, książki, co młodego uczonego wprawiało w niesłychany zachwyt. Poił i karmił ofiarodawców, bo nigdy nie chciano od niego przyjąć grosza, a wdzięczności miał serce pełne. Czasami oszukiwano go na podrobionych dakumentach, umyślnie skomponowanych pamiętnikach, lub listach — lecz Stefan biegły w swej nauce odkry-

wał apokryfy, nie domyślając się wcale żartu, lub złośliwości. Po cichu uważano go trochę za dziwaka, trochę za istotę upośledzoną, niższą od przeciętnego szlachcica. Stefan nie przyjmował udziału w polowaniach, rzadko w zabawach, a już nigdy w pohulankach. Starsi nieco ubolewali nad jego zajęciami, młodzież się z nich trochę śmiała i tylko kobiety byłyby stanęły pewno w jego obronie, gdyby Stefan sam się z pod tej opieki nie wyłączył. Był to w całem znaczeniu piękny chłopiec; blondyn o wydatnych rysach, pełen wdzięcznego układu. Wielkie, pięknie pielęgnowane wąsy nadawały mu coś rycerskiego, a łagodne oczy spoglądały jasno, nieco melancholicznie. Ta i owa go zaczepiła, ale Stefan przy całej swej grzeczności — był nieporuszony i nie dał się wyprowadzić po za konwenanse towarzyskie. Krążył on duchem gdzieindziej, a biedne szlachcianeczki ani się domyślały po jakich szybował szlakach. Wreszcie osądzono w kołach żeńskich, że pan Stefan Saryusz jest do niczego i zostawiono go w spokoju z książkami i zajęciami literackiemi.

Drugą, ziszczającą się połową rachub pana Tadeusza — był młodszy jego syn Witold. Przypominał więcej rysami matkę, energiczną brunetkę

zbyt wcześnie zmarłą dla szczęścia swych dzieci. W Witołdzie nie znać było owej miękkiej natury Stefana. Ze szkół pośpieszyl do Instytutu agronomicznego, a odbywszy praktykę gospodarczą, podróżował jeszcze dużo po Europie i tym sposobem przy wrodzonych zdolnościach, dojrzał umysłowo, rozszerzył swe wiadomości i co najwięcej znaczyło, nabył owego jasnego i trzeźwego na praktykę życia poglądu. W czasie swego przygotowawczego wychowania, Witold wcale nie był ciężarem ojcu; już w wyższych klasach szkół sam prawie zarabiał na swe utrzymanie, w Instytucie świetną pracą pozyskał stypendyum, a praktykę tak urządził, iż przynosiła mu jeszcze materyalną korzyść, której użył na półroczną podróż po Anglii i Belgii. Żeby czegoś podobnego dokonać, trzeba mieć było żelazną wolę. Przywołany przez brata, wejrzał w znany sobie zresztą stan majątku, wejrzał jasno, bez złudzeń. Ocenił, że pozycya jest niemożliwą do utrzymania, nie podobna bowiem stać tam gdzie braknie gruntu pod nogami, a Lipie w rzeczywistości nie było już własnością Saryuszów. Na nic się nie zdała praca, na nic oszczędność, bo brakło wszelkiej podstawy. Jakkolwiek uchodził z powodu swego jasnego po-

glądu i precyzyi w sądach, za tak zwanego pozytywistę nieczułego na wszystko, to przecież ustąpienie z rodzinnej gleby było dlań może tym boleśniejsze, że o tem nie mówił głośno, że się nad tem nie rozwodził lamentacyami. Nie skarżył się — bo po co miał się skarżyć, nie deklamował, bo tu deklamacya nic pomódz nie mogła. Słabość Stefana, jego niezaradność, robiła na Witoldzie najprzykrzejsze wrażenie, rodziła obawy o los brata, sam o siebie bowiem był zupełnie spokojny. Czuł się zbrojnym i silnym aby go miała materyalna zastraszać przyszłość.

Dopiero co odbyta rozmowa z bratem, dziwnie go też zmęczyła i rozdrażniła. Potrzebował ruchu, potrzebował samotności, aby przetrawić w sobie ból i smutek. Kazał więc osiodłać konia i po chwili jechał przez pole, przez łąkę ku lasowi czepiającemu się okolicznych wzgórzy. Jakkolwiek w gabinecie Stefana zalegał już wieczór, to przecież słońce letnie schylało dopiero swą jasną do snu głowę. W lesie panował półmrok, a czerwone promienie zachodu złociły zielone polanki, to kładły głębokie cienie wśród gęstwin. Niepokój jakiś ogarniał naturę, jak zwykle przed nastaniem nocy. Ptastwo napełniało świergotem przestrzeń, wiatr

chwiał wierzchołkami sosen i świerków. Nie uspokajało to Witolda, ale rozdrażniało go bardziej. Koń zwolna spinał się na ścieżkę biegnącą ku górze i nareszcie zatrzymał się na szczycie olbrzymiej skały, której frontowa ściana spadała prostopadle w dolinę, a wierzchołek uwieńczony był krzyżem pobożnie postawionym na pamiątkę ustania grasującej choroby. Było to miejsce zwykłych przechadzek dla mieszkańców Lipia, jedno z najpiękniejszych w okolicy.

Przywiązawszy konia do drzewa, Witold usiadł na stopniach krzyża zkąd się daleki przedstawiał widok. Rozciągła płaszczyzna staczała się z górskiego pasma. Łany zbożowe w szachownice przeróżnej barwy, mieniały się z sobą przetykane kępami drzew okalającemi siedziby ludzkie. Widać było dwór w Lipiu i kościołek na wzgórzu otoczony wyniosłemi topolami i plebanię bieluchną, zagajoną bukietami bzów. Środkiem płaszczyzny w parowie warczał strumień, syn górskich źródeł, kręty i niecierpliwy. Mruczał między łozami a po nad jego wodą począł się unosić wieczorny opar. W całą tę przestrzeń wlewało się mętne kurzawą złote powietrze, jak zwykle po dniu znojnym naszego gorącego lata. Witold przyglą-

dając się dobrze sobie znajomemu krajobrazowi, zachowywał ową półwiedzę czuwania, którą poeci marzeniem zowią. Mimowoli cisnęły się do jego pamięci wszystkie te chwile, które tu dzieckiem przeżył i niedługie godziny rozkosznych wakacyj; odżyły te wszystkie nici jakie się tajemniczo nawiązują między sercem ludzkiem a światem zewnętrznym. Niebył marzycielem ani z natury ani z wychowania, ale myśl że ten kąt musi pożegnać na zawsze, że te prochy dziadów w obce oddać ręce, głęboko przejmowała smutkiem.

Z zadumy zbudził go tentent koni, dochodzący z przeciwległej strony wzgórza. Niebawem wynurzyło się z lasu dwoje jeźdzców, a ściślej mówiąc kobieta i jeździec. Amazonka w swym słomianym kapeluszu, niebieskiemi przybranym wstążkami, w sukni czarnej z przyborami tegoż koloru, czyniła imponujące wrażenie pięknej w całem znaczeniu tego słowa kobiety. Przepysznie choć nieco za obficie rozwinięta kibić, wybornie się uwydatniała w surowo pod szyję zapiętym staniku. Rysy twarzy, ocienionej bogatemi zwojami bląd włosów, zdawały się za grube, ale tak harmonijne, iż żadnego im nie można było zrobić zarzutu. Gdyby nie dystynkcya zdradzająca zupeł-

ne sobą władanie, trzeba by ją wziąść za wiejską hożą dziewoję; właściwie zaś była wielce oryginalną wielkoświatową damą.

O parę kroków jechał liberyowany sługa.

Nagłe zjawienie się pięknej kobiety nie korzystne jednak zrobiło wrażenie na Witoldzie. Przerwano mu samotność której potrzebował, przerwano marzenie które koiło troskę. Z kapeluszem w ręku zbliżył się jednak do przybyłej, lecz w twarzy niezupełnie snać pokonał nieukontentowanie, dama bowiem podając mu rękę odezwała się chłodno:

— O widzę żem panu przerwała nie w porę samotność a może spłoszyłam raj myśli, chociaż cię o marzycielstwo głos ogólny nie posądza.

— Pani wiesz równie że jestem mało do tego skłonny.

Niedostrzeżony prawie rumieniec przemknął się po licu kobiety.

— A więc przerwałam coś realniejszego? naprzykład gdybym choć trochę była romantyczną... przypuśćmy jakąś tajemniczą schadzkę. Bór ciemny, krzyż, dolina...

— I znów pani nie odgadłaś, niestety nikogo tu nie oczekiwałem. Lecz na mnie sprawdza się iż nieodbiera zasłużony ale szczęśliwy...

— Zdaje się że pan zawsze nim będziesz, zaśmiała się młoda kobieta, masz pan arcy wygodny talizman szczęścia, prawdziwe arkanum na przeciwne losy.

— A wskaż że mi to pani— bo sam o niem nie wiem, choć może dziś więcej niż kiedy potrzebuję.

Zaledwo Witold wymówił te słowa, już ich pożałował — wyrwały się urywkowo wbrew zasadom, które mu nigdy i przed nikim nie pozwalały się żalić. Z oczu też kobiety wybiegły dwa promienie, które można było wziąść za współczucie. osłonięte wszelkiemi obwarowaniami delikatności i dobrego tonu. Mimo to odezwała się z uśmiechem:

— A nie żalże się, bo masz przecie taki wygodny, watowany pozytywizmem kaftan, który cię zabezpiecza od wszelkich strzał losu i podobno od wszelkich delikatniejszych nawet pocisków. Pomóż mi pan zsiąść.

Stanąwszy na ziemi, piękna kobieta wydała się jeszcze korzystniej: była to wyniosła, wspaniałych kształtów postać. Wsparta na ramieniu Witolda postąpiła ku przodowi wzgórza, zanurzając wzrok w dalekiej przestrzeni.

— Więc pan z nami już teraz zostajesz? zapytała po chwili.

— Przeciwnie, króciej zabawię niż sądziłem.

— A jak też pan masz mało przywiązania do swego gniazda rodzinnego, Patrz jakie ono piękne.

— Widzę, a co więcej czuję, lecz pani wiesz, że nie każdemu pisklęciu dano się osiedlić we własnem gnieździe. My ludzie pracy potrzebujemy szukać chleba...

— To bardzo uroczyście. Lecz panowie macie swoje sprawy, które nam kobietom mało są zrozumiałe. Ja przynajmniej nigdy się chyba nie nauczę tych wielkich formuł praktycznego życia. Nieudolną jestem w rachunkach. Chociaż widziałam gdzieś zagranicą szkołę buchhalterek i mówiono mi że są bardzo uczone — ale wiesz pan co, ja znalazłam że są wszystkie brzydkie. Czy pan także jesteś zwolennikiem emancypacyi kobiet? powiadają że to należy do pozytywizmu.

— Ja zawsze jestem zwolennikiem tej zasady, aby każdy kto potrzebuje zdobywał chleb własną pracą. Kobiet nie wyłączam od tej powinności.

W głosie Witolda było coś dyktatorsko suchego.

— No, przecie pan majątek zwalniasz od pracy?

— Na chleb własny... tak — ale nie od pracy około chleba ogólnego.

— Otóż myśl, która mi trafia do przekonania — chciałabym robić szczęście, ale widzisz pan ani wiem jak... ani dla kogo.

— Radź się pani własnego serca.

— I pan to mi taką dajesz radę? pan, który masz na wszystko reguły już gotowe, każesz mi się zapytywać najniebezpieczniejszego w każdym razie przewodnika. Ale niech tak będzie — idąc za jego głosem, możebym najprędzej chciała pocieszyć tych, którzy są strapieni.

— Takich nie braknie, tylko nie szukaj ich pani obok siebie... w twem własnem otoczeniu, bo tam znajdziesz jedynie pieszczochów losu.

— Rzecz prosta, rzekła kobieta z żywością w głosie, ci są zbyt wyniośli aby ocenić braterską pomoc, a zbyt mało mają serca, aby mu pozwolić choćby przez chwilę panowania nad sobą.

Na twarzy kobiety w tej chwili malowało się głębokie wzruszenie — usta były uśmiechnięte ale gorzko. Dowód że wzajemne względem siebie położenie tych dwojga młodych ludzi nie było im obce, a pokrywająca etykieta, tylko politurą dobrego tonu. I na twarzy Witolda czytać

można było również w tej chwili oznaki przymusu.

— Każdy powinien iść swoją koleją, którą mu życie wykreśla. Fantazye trzeba zostawić wspomnieniom. Jestem człowiekiem ubogim, zmuszonym pracować na własne utrzymanie. Takiego stanowiska nie mogę ofiarować nikomu, stanowiska zależnego nie pojmuję. Ja zawsze dla siebie od wszystkich wymagam szacunku, a pierwszym tego warunkiem jest, abym siebie sam szacował. Czuję, że idąc inną drogą, postradałbym ten szacunek...

Kobieta stała milcząca, spłoniona, zaledwo się powstrzymując.

— Ja wiem! ja wiem więcej niż myślisz.

— Sądzisz pani, że jestem mniej szlachetnym względem jednych, niż względem drugich? Nie, nie rozłamuję swoich obowiązków na dwoje, są one jednolite. Pani wiesz że jesteśmy zrujnowani, a dowiedz się że jesteśmy zrujnowani bez nadziei. Ja pójdę u obcych szukać chleba, bo tak być musi... tak być powinno.

Kobieta zaprzeczyła.

— Czemu pan nie chcesz przyjąć pomocy z dłoni przyjacielskich — czemu odrzucasz szczęście.

— Bobym go oddać nie mógł — szepnął Witold cicho.

Odwiązał konia.

— Zostańmy przyjaciołmi Ernestyno. Tak chcą losy! Już wieczór, chłód może pani szkodzić.

Ernestyna uśmiechnęła się... na rzęsach jej oczu drżała łza.

— Jedź pan — skończone, — uległam chwili słabości — zdało mi się żem potargała już dawne wspomnienia. Lecz to przeszło. No jedź pan, jedź, może tam w dolinie czekają stęsknieni... brat... jedź pan! Ja tu chwilę potrzebuję zostać.

Witold nie czekał powtórzenia rozkazu, w milczeniu uściskał rękę młodej kobiecie i prowadząc wierzchowca zstąpił po ścieżce. Po chwili słychać było tentent szybko galopującego konia. Upłynął czas jakiś. Witold ze spuszczoną głową nieoglądając się jechał już drogą u stóp skały. Gdyby jednak był podniósł oczy, byłby dostrzegł przy świetle weszłego księżyca, wyniosłą postać kobiecą z załamanemi rękami.

— Do niego biło mi serce — szepnęła i on jeden nie mój... ale nie będzie nigdy niczyim, nigdy!

III.

Jeżeli ścieżki wiodące do pałacyku w Lipiu zarosły trawą i chwastami, to droga prowadząca do dworku, gdzie mieszkał pan komisarz Brobek, zawsze była ożywioną i pełną ludzi. Wszyscy którzy tylko mieli jakąkolwiek styczność z Lipiem, dobrze wiedzieli, iż byłoby próżną rzeczą kołatać do drzwi Stefana, które tylko wtedy się odmykały, kiedy szło o nabycie jakiego rękopismu in Anno Domini.... lub o pozyskanie jakiej rzadkiej edycyi. Wydział spraw teraźniejszych należał wyłącznie do pana komisarza, który swą władzę miał podzielić... jeżeli podzielić, z młodszym dziedzicem. I w tej chwili, gdy Witold przechodził przez dość brudną sionkę dworku, aby się dostać do komisarskiej kancelaryi, znalazł tam kilkoro przybyszów, a w ich liczbie miejscowego arendarza, a raczej po dawnemu prawą rękę pana Brobka.

Sanktuaryum gdzie się mieścił pan komisarz, nieróżniło się od zwykłych naszych wiejskich kancelaryj. Odwieczna połamana sofka, krzywa do papierów szafa, walczyły ustawicznie o utrzy-

manie własnej równowagi. Nawet nie brakło na kołku owego pęku starych kluczów w towarzystwie harapa, smutnie dumającego nad swą przebrzmiałą przeszłością. Na szafie w otoczeniu kilku kieliszków stała blaszanka z wódką, bez której nieobyło się żadne sprawozdanie niższej służby, ani żaden obrachunek z tą częścią populacyj, którą poeci poczciwym ludkiem, a prawowierna szlachta chamami nazywała. Pan komisarz ujrzawszy wstępującego w swe progi młodego dziedzica, poskoczył ku niemu, starał się jak najgościnniej usadowić na jedynem zydlu, o całości nóg którego był przekonany.

Witold zostawał jeszcze pod wrażeniem wczorajszej rozmowy, a gładkie jego czoło pokrywała chmura zamyślenia.

— Kochany panie Brobek, po dojrzałej naradzie brat mój i ja postanowiliśmy nie akceptować pańskiego projektu.

Brobek zatarł ręce, opuścił swe siwe powieki na swe siwe oczy i przez wązkie usta wycedził:

— To niedobrze panie hrabio, to nie dobrze, bo myślę że nic nadto lepszego nieznajdziemy.

— Być może, ale ten pański projekt miał dla mnie jeden skopuł o który musiał się rozbić.

— Skopuł panie hrabio? — zdaje mi się że byliśmy zgodni zupełnie z literą prawa.

— Ależ mi niechodzi o prawo, tylko o.... uczciwość.

— Uczciwość, zaśmiał się zacierając ręce Brobek, a ktoby ją chciał naruszać; uczciwość to grunt, tylko że ja nie widzę gdzieby w moim projekcie uczciwość panów hrabiów szwankowała.

— Panie Brobek, mam też do pana jedną prośbę — mnie bo jest wszystko jedno, czy mi kto da niewłaściwy tytuł lub nie, ale mogą ludzie myśleć że się o niego staram, a pan wiesz tak dobrze jak ja, że mi się tytuł hrabiowski nie należy.

— To już do rozkazu...

— Odrzucając pański projekt, nie idzie zatem, abyśmy nie mieli uczynić wszystkiego co tylko można dla uratowania Lipia.

— To trudno, bardzo trudno zrobić. Zresztą ja zawsze na rozkazy pana hrabiego.

— Powiedz mi pan czy po za zwykłemi środkami kredytu, które jak wiesz są wyczerpane, nie dałoby się należnych sum zastąpić innemi?

Brobek kiwał głową, zamykał oczy, tarł ręce, ale się z odpowiedzią nie spieszył.

— Widzi pan hrabia — bo to trzeba już powiedzieć, żeśmy tak okolicznej szlachcie temu i owemu coś na ucho szepnęli o sprzedaży Lipia drogą licytacyi; któż więc proszę pana odważy się ryzykować i dać grosz na kredyt?

—A to zrobiliście troszkę za pospiesznie. I jakże okoliczne obywatelstwo przyjęło wasz projekt?

— Co komu do cudzych interesów —; szlachta się pilnuje aby nikomu w drogę niewchodzić, a tembardziej synom nieboszczyka Pana, którego tak powszechnie kochano.

— Ja też liczę na to, rzekł Witold, i spodziewam się znaleźć dość uczciwych ludzi, co przez pamięć na ojca pomogą mi do wywikłania się z interesów.

— Może.

— Myślę że pan Księzki posiada gotówkę i niezechce odmówić pomocy.

— Hm, czemu nie...

— Nareszcie gdyby mi przyszło od dworu do dworu jeździć, to ze względu na Stefana, nie cofnę się przed tym projektem! Bo o cóż tu idzie, o zastąpienie sum pewnych innemi, na teraz niewymagalnemi.

— Panie hrabio! rzekł Brobek głos nieco zmieniając, pewne i niepewne to są rzeczy względne; zresztą nie tylko idzie o zastąpienie sum hipotecznych; nam potrzeba jeszcze kapitału obrotowego, bo w przeciwnym razie pracować będziem tylko dla wierzycieli; panu hrabiemu powiem otwarcie, że ja tu w żadną pomoc nie wierzę; szlachta ani będzie chciała, ani będzie mogła nic zrobić; do licytacyi nie stanie bo tak chce obyczaj, ale pieniędzy nie da.

— Ja jednak od zamiaru nie odstąpię — jeżeli pomocy nie znajdę, to raczej wolę z majątku zrezygnować, niż....

Brobek się uśmiechnął, zatarł ręce, oczy znów zamknął.

— Pan hrabia musi to najlepiej wiedzieć, co ma zrobić, ale pan Stefan.., biedny... o biedny pan Stefan!

— Nie czyńże biednego Stefana niedołęgą, i on potrafi zarobić na chleb...

— Zarobić na chleb, a po cóż to... czy to hrabiemu Stefanowi potrzebne?

— Dość! zrzymnął się Witold, zawiadomiłem pana, a teraz każdy do swych czynności.

— Hm... hm... panie hrabio, jeszcze jedno słówko, ja tam człowiek starej daty... inaczej może patrzę niż ludzie dzisiejsi. Otóż jako wierny sługa winienem ostrzedz pana i radzić ile siły starczą. Byłby jeden środek ratunku dla Lipia... no tak gdyby pan się... ożenił.

Witold mimo smutku uśmiechnął się:

— Ożenił... naturalnie z pieniędzmi.

— Naturalnie... naturalnie!

— I ty panie Brobek byś mi wskazał żonę ciepłą groszem.

— No czemuż nie. Hrabianka Ernestyna dawno przez rodziców panu przeznaczona... a ja... ja wiem...

— Cóż też wiesz panie Brobek? spytał Witold wyniośle.

— Że panna wcale nie od tego...

— To dowiedz się panie komisarzu, iż ja nigdy panny Wysokopolskiej za żonę nie wezmę, ani się z żadną bogatą panną nie ożenię, dopóki sam jestem biedny.

— Hm, mój Boże — ja tam człowiek starej daty, ale za moich czasów młoda szlachta zawsze się wianem po kądzieli, w trudnych interesach reparowała.

— A teraz kochany panie Brobek takie nadeszły czasy, że każdy człowiek zdrów i oświecony, pracą się własną dorabia pozycyi i majątku. Kogo zaś na to nie stać — jest zgniłym, pasorzytem.

— Piękne czasy, piękne czasy, mówił Brobek zamykająo oczy, piękne teorye... ale już ja przy dawnych zostanę i w interesie pana hrabiego wolałbym, abyś zawierzył staremu. Wysokopolscy sami są wprawdzie zrujnowani, ale to fortuna magnacka, trzyma się jeszcze — kredyt duży... i potrzeba tylko ręki, aby ją dźwignąć na nowo.

— Mój panie Brobek nie mówmy o tem; to nigdy nie nastąpi, przerwał Witold. A teraz każdy do pracy, ja jadę w okolicę po szlachcie — pomówię z każdym co robić, aby ród stary przy dawnym utrzymać zagonie.

Podał rękę rządcy i wybiegł nie zważając na pokłony jakiemi go żegnano w kancelaryi i sionce. Gdyby jednak teraz mógł Witold widzieć Brobka, byłby ujrzał jak komisarz otworzywszy oczy szeroko, stał długą chwilę w głębokiem pogrążony dumaniu. Wysoka i niezgrabna jego postać, zwykle zgięta jakby dźwigał pół świata, wyprostowała się, z wązkich ust znikł zawsze tam

goszczący uśmiech. Brobek głęboko myślał, jakby rozważał przyszłe skutki i coś w swym planie przestawiał, co przestawienia wymagało; nareszcie ruszył ramionami i rzekł półgłosem do siebie:

— To mi zresztą wszystko jedno, nie siak to tak, dojdziemy do Lipia, przecież dobrze wiedzieć! Hm, pracą własną zrobić majątek — łatwo się to mówi — i cóżbym ja miał był dotąd z tej mojej pracy własnej!.. Na świecie czego drugim nie wydrzesz tego nie masz, choćbyś ręce upracował po łokcie i jak Salomon był mądry. No ale się wygadał i ostrzegł mnie w porę, trochę będzie więcej zachodu, ale kto wie czy nie pewniejszy skutek.

Pan komisarz zbliżył się do szafki, wyjął foliał sądowych papierów i zagłębił się w czytaniu, gdy turkot odjeżdżającej bryczki, przerwał mu tę pracę. Był to Witold, który snadź nie zwlekając, puścił się w zamierzoną wędrówkę po okolicy. Brobek się szyderczo uśmiechnął.

—Jedź, jedź, a przekonasz się co znaczą nadzieje na ludzką wdzięczność! Temu młokosowi się zdaje, iż ze szkolnych ławek przyniósł tu rozum, którym wszystko pokona. Myśli że gdy on skinie, to gdzie chwast rosnąć niechciał, tam mu pszenica wyro-

śnie. Własną pracą, wszystko własną pracą! A pyszne to, a dumne choć demokratów udaje... Skalska 20,000 lit. d.— hm, to i tak trzebaby było kupić, boć przecie niepodobna aby ta suma spadła. Zawsze to mi jednak dyabelnie przysparza roboty.

Brobek wstał, schował akta na powrót i wyjrzał do sionki.

— A, pani Skalska, witam waćpanią, witam, że też to nic nie powiedzą i pani dobrodzice czekać każą. No Szloma i ty tutaj, zatrzymaj się, niechże pani pozwoli.

Kobieta wysokiego wzrostu, mocno siwiejąca, zamaszystych ruchów, wkroczyła do kancelaryi pana komisarza, który ją z wszelkiemi honorami grzeczności na wyszarzanej usadził kanapie.

— Zbytek łaski panie komisarzu, zbytek łaski — wołała przybyła, nie zasłużyłam na tyle względów.

— Za mało pani dobrodziko, ja to winienem suplikować się, no jakżeż tam w domu, a ta holenderka?

— Z kretesem panie dobrodzieju, nic warta.

— Nie może być, a to szwab oszukaniec, jak Boga kocham, zaręczał że czystej krwi kolenderska i że warta co najmniej dwieście rubli.

— Ach panie dobrodzieju, gdyby nie to żem ją wzięła w procencie, tobym niedała i pięćdziesięciu. Ale cóż, lepszy rydz niźli nic. Niech ten co ją szacował i jutra niedoczeka.

— Niegodzi się pani dobrodziko złorzeczyć; sam zapłaciłem dwieście rubli a już tylko ku wygodzie pani rozstałem się z tą sztuką. No a Julek, cóż tam Julek, zagadnął Brobek który osądził, że po gospodarskim dyskursie o krowie, którą zaliczył pani Skalskiej w procencie, czas ją zapytać o syna.

— Julek?.. to tylko kłopot. Matko daj pieniędzy, daj pieniędzy matko, bo staniemy z fabryką; na wiosnę trzeba pieniędzy bo przednowek, na jesień potrzeba przysposobić zapasy na wiosnę.

— A czy nie mówiłem pani dobrodzice że tak będzie.

— Prawda, prawda... ale Julkowi niemożna odmówić głowy, oho ma ją za dwóch, za czterech i nauka. Interes też na tej fabryce piękny, roboty i obstalunków mnóstwo, żeby tylko kapitału.

— A nie mógł to na niego czekać, czy to nie mówiłem, nie radziłem, nie ostrzegałem.

— Prawda, ale młody: Moja matko zacznę, mówi, co będę czekać, okolica potrzebuje narzędzi,

maszyn, bo nigdy się nie ruszy z zastoju; za rok suma wymagalna — to i odbierzemy — a tu już dwa lata jak się drepcze koło tej sumy. Więc rozpoczął sam.

— Oni wszyscy teraz tacy, skrzywił się Brobek, sam, własną siłą, własną pracą, pójdę przebojem — ot niechże teraz idzie.

— No, ależ się suma należy.

— A niby to ja pani zaprzeczam, suma się należy, ale nalejże pani z próżnego. Widzisz pani robię co mogę, jak umiem tak procenta spycham, temu krowę, temu barana, tamtemu siano, z naszą stratą, z naszą wielką stratą za pół darmo, za bezcen, ale pieniędzy — tych niestworzę!

— A mój królu, to być nie może, ja pieniędzy potrzebuję, Julek wystawił weksel na termin, albo płać albo fabrykę zamkną i koza.

— Mościa moja dobrodziko, cóż ja ci pomogę, ja z duszy serca radbym, Bóg mi świadek. Subhastujcie, procesujcie.

— Co mi tam pan komisarz procesować każesz, czy to śp. Hrabia nie dobrodziej mego Julka, czy to cały fundusz nie jemu my winni, żeby teraz procesem grozić, subhastować jego dzieci? To się

po Skalskich niepokaże, toby i Bóg nie błogosławił i ludzie nam w oczy pluli.

— No widzi pani, rzekł Brobek zamykając oczy i zacierając ręce, ale pieniędzy potrzeba, ale weksle.

— Tak, tak, jęknęła kobieta, te nieszczęśliwe weksle.

— No to chybaby sprzedać sumę.

— A chciałem pożyczyć na nią, ale żaden żyd z Łukaszowa nic dać nie chce, powiadają że ta suma spadnie.

— Wilki! szachraje! niegodziwcy! uwzięli się nam psuć kredyt, więc nic dać nie chcieli?

— Ruszali ramionami, pluli, szwargotali, ale każden z nich rzekł: to nie mój interes, to w Lipiu. Nawet w powiecie powiedziano to samo.

— A Szloma?

— Szlomy nie było, a gdym go dziś zaczepiła i słuchać nie chciał.

— Czekajżeno mościa dobrodziko, ja bo się w te interesa mieszać niepowinienem; ale że się żyło przyjacielsko z nieboszczykiem Skalskim, a Julka kocham jak syna, pomówię ze Szlomą, może się co da zrobić.

— Mój dobrodzieju, opiekunie! czemżeż ja ci się wywdzięczę?

— No widzisz asani -- tylko sza, nawet przed Julkiem sza, to jeszcze młode, harde i płoche, bywaj mi waćpani teraz zdrowa. Szloma da znać.

Pan komisarz był człowiekiem zbyt skromnym ażeby mógł słuchać całej litanii wdzięczności, jaką go osypywała pani Skalska, której matczyne serce było uszczęśliwione nadzieją ocalenia syna. Żegnał spiesznie zamaszystą matronę, aby do swego sanktisimum przywołać brodatego reprezentanta Abrahamowych potomków.

Szloma przestępując próg komisarskiej kancelaryi, miał na obliczu taki wyraz czci i uwielbienia dla pana tych miejsc, iż wązkie wargi pana komisarza zadrgały uśmiechem dumy. Brobek wiedział, iż nikt może nie był doskonalszym sędzią i znawcą jego administracyjnego geniuszu nad Szlomę, który z rodu i osobistego doświadczenia, mógł ocenić mistrzostwo w interesach. Lecz już uśmiech jaki wykwitł na obliczu komisarskim zdradzał, kto w obopólnym stosunku między tymi dwoma ludźmi, miał górę — czy wierzący w siebie surdutowiec, czy pokorny łapserdak, co się tam u progu w uniżonym zginał pokłonie,

— No widziałeś mój Szloma, rozpoczął rozmowę Brobek, widziałeś, młody hrabia pojechał po prośbie do braci szlachty... o pieniądze!

— Psi... skrzywił się żyd...

— Ha! ha! ha! zaśmiał Brobek.

— Nu, czy kto widział aby taki mądry pan takie z przeproszeniem głupstwo robił?

— Mądry... jemu się zdaje że mądry... On myśli iż odezwawszy się do tego i owego w imię zasług ojca, tak rozczuli szlachtę, że mu worki otworzą... Szlachta się zresztą rozczuli, ale cóż to pomoże... kiedy goła.

— Nu i co będzie?

— Ot tylko dla nas niepotrzebny kłopot i koszt. Trzeba jeszcze sumę Skalskiej skupić... baba się kręci o pieniądze — zaczepiała cię dziś?

— Gadała, alem powiedział: nie mogę...

— Trzeba jej dać tysiąc rubli...

— A jak nie weźmie?

— Weźmie bo już termin naszych weksli upływa .. a lepiej kupić, niż gdyby ta suma spadła. Baba głośna jak bęben, dopieroby to był hałas i harmider!

— Będzie i tak nie mały.

— A będzie, tym większy iż ten szaleniec Witold woli ustąpić z majątku, niż się ratować licytacyą albo ożenkiem z Wysokopolską...

— Takiej pięknej panny hrabia nie chce?—żyd cmoknął.

— Ani nawet o niej mówić sobie niepozwala! Pan Brobek zamrużył oczy i tak chwilę nieruchomy myślał.

— Nu, to nie dobrze... hrabiemu po głowie co innego lata... panna Marya.

— Pal go sześć, wybuchnął Brobek, ale ja przez to Słomian nigdy oglądać nie będę...

Żyd się uśmiechnął.

— Czemu? jest hrabia Stefan, ten do interesów lepszy.

— Ale tego panna niechce, a on o pannie nie myśli.

— Niby to nie można zrobić żeby go panna chciała, a on o pannie pomyślił. Hrabia Stefan bardzo piękny człowiek, dobry... czemu by panna nie chciała, gdyby go chciała rodzina...

— No naturalnie — ale cóż Wysokopolskim po Stefanie, goły jak święty turecki... Co innego Witold — tego panna chce.

Żyd się pogrążył w zadumie, która nie uszła uwagi komisarza.

— Musisz coś wiedzieć? pół głosem spytał Brobek.

— Ja? nu — nie wiem nic, — ja jadę prosto od szwagra z Częstochowy, co to mi był winien pieniądze.

— I oddał?

— A czemu nie miał oddać... jemu dobrze... w Częstochowie wszystkim się powodzi... Ludu zawsze jak nabił — geschaefft!

— Zachciałeś, takiej Matki Boskiej jak w Częstochowie drugiej w Polsce nie masz...

Żyd pokiwał i podrapał się w głowę...

— Z przeproszeniem pana komisarza to bardzo nie dobrze — u nas to już lepiej...

— Jakto lepiej?

— A rychtyk — kiej rabin mądry, to Pan Bóg na niego zawsze łaskaw.

Brobek się zaczął śmiać.

— Ja prawdę mówię — a już kiedy pan Bóg łaskaw to rabi cuda może i jest mu w mieście jakby w niebie.

— No to wasz Pan Bóg lepszy — kiedy tak robi cuda!

— Czemu lepszy? niby to nie jeden Pan Bóg na świecie... nu żeby tak poprosić.

— Aha... żeby to od prośby zależało, to nasz proboszcz pewnoby już dawno cud dla Lipia uprosił.

— Nasz Jegomość to święty człowiek, ale nie do tego... o nie do tego... Co innego ksiądz Przeor ze Słomian... u niego rozum fein... Czy pan komisarz widział jaka tam w klasztorze bieda?!... Nu... nu... gdzie się to teraz te czasy podziały gdy w Słomińskim klasztorze wszystkiego było w bród...? Teraz panowie obywatele to klasztorowi nic nie dadzą i przyjdzie czas, że biedny propinator jakąś furkę przeorowi pośle. Toć im nie umierać z głodu. Żeby tu pan komisarz co pomógł...

— A daj ty mnie pokój... co mi tam do gołych mnichów! Ot jak pozdychają z głodu, mniej będzie próżniaków na świecie...

— Nu, każdy pracuje jak umie... żeby to pan komisarz chciał...

— Ot zkąd ci się to wzięło... Szloma, to nie bez kozery... czy ty się myślisz wychrzcić i klasztorowi grosze zapisać — zaśmiał się Brobek.

— Po co tu pieniądzów... nad klasztorem... jest Pan Bóg łaskaw. Nu ale tak, żeby pan komisarz dał dobrą radę księdzu Przeorowi, toby w klasztorze lepiej się działo... Czy

to Pan Bóg nie robi cudów... a do miejsc cudownych ludu schodzi się wiele. Gdyby ksiądz Przeor uprosił u Pana Boga cud w kościele, jabym zaraz na współkę z wielmożnym komisarzem wziął propinacyą w Słomianach, i klasztorowi trzy tysiące rublów płacił....

— Słyszysz go?

— Nu, a za propinacyę pięć tysiąców rubli pani hrabinie i dałbym z góry połowę dziesięcioletnich czynszów...

— Co... co... — czyś oszalał.

— Po co Szloma ma oszaleć... on ma zdrowy głów. Pani ze Słomian potrzebuje teraz bardzo pieniądzów, bo młody pan chce jechać zagranicę... ot żeby groszów dostać, to by córkę dała panu Stefanowi... Szloma w takim razie da pieniądzów.

— I my się dobierzemy do Słomian...

Żyd nie odpowiedział, tylko machnął znacząco ręką — skłonił się i wyszedł.

Brobek zapadł w zadumę — myślał — a na jego czole to przesuwały się chmury, to migotało światło — snać przetrawiał pomysł żyda, rzucony jak przynęta rybie. Trwało to może z kwadrans, nareszcie wsunął swą dużą głowę w lufcik u okna i zawrzasnął na całe gardło:

— Grzela!

Od strony folwarku w dyrdy podbiegł parobek.

— Grzela! zaprzęgnij do najtyczanki, pojedziemy do klasztoru w Słomianach!

Ze Słomian pan komisarz Brobek do domu powrócił dopiero wieczorem. Przez trzy godziny zamknięty w celi z ojcem Anzelmem, tajemniczą wiódł rozmowę. O co chodziło rządcy i pobożnemu Przeorowi—nikt nie wiedział. Gdy opuszczał progi klasztoru, Brobek był blady jak chusta, ksiądz czerwony jak rak. Widać grzesznik kajał się przed Majestatem. Ale łaska Boża jest niewyczerpana — a Kościół tych łask szafarzem.

IV.

Na wzgórzu, wśród rozłożystych pól szumiącej pszeniczki, stał okolony rozległym angielskim ogrodem dwór „poczciwego Józia". Poczciwy Józio, podżyły kawaler, wysoki jak olbrzym, zarosły krzaczystemi bokobrodami jak niedźwiedź, niezgrabny, czarny, o wydatnych rysach, przedstawiał typ litwina, bo z za Niemna ród swój wywodził. Ród to był dziś jeszcze magnacki, to też

i Józio rozrządzał ogromną fortuną, ale się swych zabużańskich majątków nie trzymał, a siedział tu na wiosce jednej choć pięknej, rad wielce że mu i do stolicy i zagranicę bliżej było. Życie prowadził wesołe, dom trzymał dostatni, prawie hulaszczy, a choć imieniem należał do arystokracyi, stosunkował się swobodnie ze szlachtą, którą karmił, poił, której patronował, z którą grał w skromnego sztosika i której był bożyszczem. Zwano go „poczciwym Józiem" bo w ostateczności nie lenił się otworzyć worka i poratować ratą przyciśniętego sąsiada, lub wybawić jaki szlachecki podpis z niewoli izraelskiej. — Nawiedzano go często i tłumnie, tak że nie było ani dnia, ani godziny, aby we dworze kilku lub kilkunastu osób nie znalazło się gościną.

Ku temu to dworowi Witold najprzód skierował swój wolancik — i nie zawiódł się w nadziei, gdyż zastał u Józia zgromadzonych tłumnie sąsiadów, in gratiam jednej z tych sesyj rolniczych, co to rozpoczynają się od poważnej dysputy, a kończą bezikem lub diabełkiem. — Tym razem rzecz była w połowie, gdyż wstawano od stołu i całe zgromadzenie przy czarnej kawie i likierach, czuło się w tym błogim stanie przebytego

dobrze ranka i spodziewanej dobrej wieczornej zabawy.

Witolda przywitano głośnym okrzykiem. Jego sława uczonego agronoma, poparta kilku artykułami w pismach rolniczych, znaną już była w okolicy. Wprawdzie spoglądano nań nieco dziwnemi oczyma, temi co zawsze szlachcic polski patrzy na „uczonego"—ale instynktowne poszanowanie wiedzy mieszało się z pamięcią o rodzie, do którego Saryusz należał. Zawsze był kością z ich kości — a to i dziś wiele znaczy.

Rozmowa toczyła się gwarnie, urywano, jak to zwykle na wsi trochę o gospodartwie, trochę o widokach na przyszłość... a już skoro nie o kobietach, to o szlacheckiej biedzie.

— Diabeł nam szlachcie pomoże! zawołał ktoś z tłumu... Towarzystwo wypiliśmy jak słońce rosę... lasy popłynęły do Gdańska, wiosną z żydkami bawimy się w zielone, a każdy jak wąż opisany czarno na białem siedzi u Szmula w kieszeni...

— No więc co?

— A co... wszystkich nas diabli porwą z kretesem.

— Za pozwoleniem, ja temu zaradzę — zawołał jakiś żółty, straszliwie chudy jegomość gła-

dząc szczelnie przylepione do skroni bląd włosy.., mam środek dźwignięcia szlachty polskiej.

— Oho! oho! odezwano się zewsząd.

— Mówże! jaki?

— Otóż mam i to środek mędrszy trochę niż te wszystkie, co nam zalecają utopiści z za zielonych stolików. Krzyczą: niech się szlachta uczy, niech pracuje, niech oszczędza, niech ulepsza grunta...

— Do rzeczy! do rzeczy!

— Zjadłby każdy z tych krzykaczów licha, gdybym go postawił na naszem miejscu i kazał pracować na obdłużonej wiosce, bez kapitału..

— No ale twój środek?!

— Czekajcież... otóż wszystkie książki to bajki — dalibóg bajki wierutne. Szlachcic ręce po łokcie upracuje, a nic nie zrobi. Na co mu praca, na co rozum, z pustego nie nalejesz!

Towarzystwo skupiło się koło mówcy — słuchano...

— Dalipan co do mnie, myślę że lepszy łut szczęścia niż funt rozumu... dla tego radzę, aby szlachta zamiast tych wszystkich agronomicznych sesyj, zamiast towarzystw, składek i prenumeraty pism, które nam już kością w gardle

stają... otóż żeby szlachta utworzyła jedno wielkie towarzystwo....

— Jakie, gadajże raz...

— Loteryjne... bilet po dziesięć rubli, sto tysięcy główna i jedyna wygrana. Tym sposobem przynajmniej co rok jeden szlachcic stanąłby na nogi...

— I za dziesięć tysięcy lat cała szlachta polska byłaby bez długów, magnatami..!

— Wyborny pomysł..!

— Tylko by trzeba zamówić sobie Matuzalowe lata u Pana Boga.

— No jak tam chcecie, ja się na rzeczy patrzę praktycznie — lepszy mi jeden magnat w roku, niż cała biblioteka szpargałów...

— Ale i bez szpargałów można być dobrym gospodarzem, ktoś zaprotestował — mamy jeszcze wielkie obszary w swych rękach, jesteśmy w samym środku Europy, posiadamy mnóstwo pomocniczych środków dochodu jeszcze nietkniętych i szlachta polska ma wszelkie warunki być najbogatszą z populacyj rolnych w Europie.

— Eh, nim słońce wzejdzie oczy rosa wyje... nim to nastąpi, żeby nas wprzódy niemcy nie skonsumowali... mają takie ostre zęby...

— W Poznańskiem nie łatwo się już naszym utrzymać...

— Ba, Kujaw a nawet Płockiego dobrze nadgryźli...

— To też mości panowie—mówił ten co szlachcie wróżył, że będzie najbogatszą w Europie — trzeba nam się trzymać ziemi rękoma i nogami, jeśli puszczać—to tylko w ręce własnych rodaków...

— Tak, tak, trzymajmy się! niedajmy się! zawołano chórem.

Witold osądził, że jest to właśnie pora do wystąpienia:

— Panowie, wyznam wam szczerze, rzekł z prostotą — iż przyjechałem tu właśnie z zamiarem proszenia o taką pomoc zbiorową dla Lipia. Znacie dokładnie nasze położenie i niepotrzebuję długo się nad tem rozszerzać. Cała rzecz leży w tem, aby jedne sumy hypoteczne wymagalne zastąpić innemi z dłuższym terminem. Lipie jest pięknym majątkiem i skoro tylko będę miał czasu dosyć, oczyszczę powoli hypotekę. Stosunki jednakowoż — z jakich powodów nie wchodzę — tak się ułożyły, iż tylko pomoc wasza, pomoc ludzi przejętych obowiązkiem utrzymania ziemi w rękach ziomków, wybawić nas może z tej toni... Czyż odmówicie nam panowie tej pomocy?

Zgromadzenie spojrzało po sobie. Nikt nie był przygotowany do podobnego obrotu rozprawy, a bezpośrednie odezwanie się Witolda jakoś nieprzyjemnie wszystkich dotknęło. Stan majątkowy Saryuszów nie był nikomu obcym, boć sąsiedzi dobrze wiedzą jak kto siedzi, ale mówić tak otwarcie o swej biedzie, toć się wydało wszystkim jakoś nie po szlachecku. Nie wiedziano co zrobić i chłód owiał zgromadzenie. Ale chwila ta nad wszelki wyraz była męczącą dla Witolda. Odczuł wnet iż wszystkim sprawił kłopot i to właśnie największą stało się dlań przykrością. Odezwać się do obowiązku, który dopiero co tak gorąco afirmowano, było według niego rzeczą słuszną, ale odzywać się powtórnie, skoro nie spieszono na pierwszy apel, było poniżeniem, żebraniną. A jednak nikt mu tego przejścia nie oszczędził — głucha cisza panowała w salonie.— Witold postanowił więc walczyć do ostatka za sprawę brata... Myśl że Stefan musi opuścić ukochane Lipie, była wężem Gorgony popędzającym jego energię.

— Nie wiem czym się dobrze wytłumaczył panowie! — począł biedny Witold powtórnie — nie idzie tutaj o zarządzenie jakiejś ogólnej składki,

to nie odpowiadałoby warunkom realnym, ale idzie o to, aby ci, którzy poczuwają się do obowiązku niesienia wzajemnej pomocy współrolnikom i współrodakom, a posiadają kapitał, zechcieli przyjść nam w pomoc stosowną hypotecznie pewną pożyczką!

Słowa te gorszy jeszcze od poprzednich wywarły skutek. Że się brat szlachcic odwołuje do serca szlachty, no to, pominąwszy formę, uszłoby jeszcze. Ale tak publicznie proponować interes, to chyba nie wypada. Od tego są faktorzy żydzi ażeby wyszukiwali gołej szlachcie pieniędzy, aby pośredniczyli w interesach pożyczkowych nawet między dwoma sąsiadami, którym się przecież nie wypada kłócić o procenta i umawiać o terminach. Witold za mało znał położenie, za mało uwzględniał zwyczaje swych współziemian, nie brał w rachubę ich pojęć i towarzyskich wyobrażeń. — Gdyby się był utrzymał na pierwotnem stanowisku, gdyby tak zwanemi ciepłemi wyrazami, które w gruncie są zwykle wytartemi liczmanami frazesów popularnych o braterstwie, o jedności etc., przemówił do serca słuchaczów, wzruszył ich, rozentuzyazmował — to wybuchając jak fosfor, byli by rozgrzali się zapałem, by-

liby go wyściskali, wycałowali, może się nawet trochę spłakali. Wprawdzie skutek faktyczny nie byłby inny jak obecnie, pieniędzyby tą drogą nie dostał — ale stałby się popularnym człowiekiem, zyskałby przyjaciół, wszyscy by go żałowali serdecznie. Jak pamięć sięgnie, w powiecie raz tylko jeden szlachta drogą ogólnej pomocy uratowała brata szlachcica od turbacyi... Ale to był pan Konstanty, poczciwy Kostuś, rozkoszny hulaka, co już puścił kilka milionów odziedziczonych w spadku po różnych babkach, ciotkach i stryjaszkach. Kostuś co w pięćdziesiątym roku tak prowadził mazura jak nikt w okolicy, co dotrzymywał placu przy butelce, co był taki zabawny, taki serdeczny, miły, poczciwy... A i wtedy owa pomoc, celem wybawienia jedynej już wioseczki pana Konstantego, nie przyszła łatwo. Odbyto nie mało zjazdów, sesyj, narozprawiano się do woli, zjedzono obiadów i kolacyj dosyć, nim nareszcie zebrano potrzebną sumę. — A tu Witold— wprawdzie syn pana Tadeusza, co wiele znaczyło — ot tak sobie wprost, występuje z tyle ważną propozycyą. — Trzeba było jednak coś rzec, coś zrobić, bo tego honor, ba! towarzyska grzeczność wymagały. Więc pan Sulima Suli-

mowski z Sulimowa najstarszy wiekiem, obywatel wielce poważany w sprawach publicznych, wiedząc co mu się należy i czego okoliczności wymagają, wystąpił, uściskał Witolda i zagaił:

— Skoro Mości Dobrodzieju, oddajesz w ręce bratnie swą sprawę— toć bratniemi rękoma trzeba ją rozwiązać. Ojciec, pan Tadeusz Saryusz był obywatel prawy i chętny ku dobru ogólnemu i wiele się należy jego pamięci. Trzeba nam Mości panowie dać dowód że umiemy szanować zasługi...

Ogólny szmer potwierdził słowa mówcy...

— Myślę przecie, iż najlepiej będzie, czyniąc wszystko rozważnie i jak należy, skoro wyznaczymy komitet, który rozpatrzywszy się w sprawie, zaproponuje środki odpowiednie, jakich użyć wypada.

— Słusznie mówi pan Sulimowski, rada mądra... wybierzemy komitet — oto jest znać się na obywatelskiej rzeczy, oto jest mieć takt i rozum.

Projekt ogólnie chwalono, gdyż najprzód odsuwał od zgromadzenia potrzebę natychmiastowej wspólnej rady, rozkładał sprawę na miesiące i prawdopodobnie ją umarzał, komitety bowiem szlacheckie zwykle nic nie robią i tym sposobem umierają naturalną śmiercią. — A już zrucenie

towarzystwu z głowy niemiłej sprawy, tak nie zwyczajnie i nietrafinie poruszonej przez Witolda, to korzyść najważniejsza. — Zajęto się więc gorliwie złożeniem komitetu, któremu pan Sulima Sulimowski z Sulimowa miał przewodniczyć jako prezes. — Postanowiono zaprosić na członka pana Księzkiego znanego kapitalistę, ale ten na wzmiankę o komitecie gdzieś się zapodział, na razie nie można go było odszukać; w kilka chwil tylko ujrzano obłok kurzu na gościńcu, pokrywający skromną bryczulkę zacnego kapitalisty-obywatela. Natomiast pan Piotr Pietrzykowski nie dał się długo prosić na członka. Wiedział on z doświadczenia, iż najłatwiej ustrzedz się od ponoszenia ofiar, pełniąc funkcyę pobudzającego innych do składania na ołtarzu dobra ogólnego. Był więc czynnym członkiem wszystkich w powiecie komitetów, chociaż nie pamiętano aby mimo wielkiego majątku, kiedykolwiek choć grosz na jakikolwiek cel ogólny ofiarował.

Oprócz prezesa i pana Pietrzykowskiego, należało jeszcze wybrać trzech członków, boć nie wydało aby tak ważna dla honoru obywatelstwa sprawa, mniej nad pięciu liczyła patronów. — Na nieszczęście ci, którym ten „zaszczyt" należał się

z położenia, rodu i wieku nie byli obecni—przeto uformowanie komitetu do dalszego odłożono czasu. — Zaczepiono tylko gospodarza, boć tak się z grzeczności należało, ale „poczciwy Józio" rzekł:

— Jak przyjdzie co do czego, pomódz pomogę... z komitetem jednak dajcie mi pokój, to nie moja rzecz! Odprowadziwszy zaś na stronę Witolda, uściskał go i mówił:

— Kochany Saryuszu, jak będziesz potrzebował kilku tysięcy, przyjeżdżaj zawsze do mnie. Ten komitet widzisz nic nie zrobi. Będą dużo gadać, ale koniec końców wyjdzie zero. Szkoda żeś mi nie powiedział wprzód o twoim zamiarze wystąpienia do szlachty. Bylibyśmy to inaczej, skuteczniej urządzili. Teraz odrobić się to nieda, komu zaproponujesz zsyłać się będzie na komitet... No nie byłeś w kraju, mało nas znasz... Nie jesteśmy źli z gruntu, ale się dziwnie jakoś powikłały stosunki. Ot dużoby o tem gadać!

Machnął ręką i poszedł ku stolikom zielonym, które służba zaczęła rozstawiać na żądanie gorliwszych zwolenników treflowej damy. Towarzystwo już podzieliło się na kółka. Jedni rozprawiali o propozycyi Saryusza, o majątkowem

położeniu, o gospodarstwie w Lipiu. — Gorąco oddając cześć pamięci pana Tadeusza, krytykowano jego niepraktyczność w postępowaniu, jego zbyteczną gorliwość dla dobra publicznego z zapomnieniem o sobie. Zresztą jego przesadna uczciwość naraziła go na straty i byłoby daleko lepiej, żeby kilka sum hypotecznych spadło, niż gdy teraz okolicy i szlachcie zrobiono taki kłopot, jaki przewidywano z „poświęcenia się" dla uratowania Saryuszom Lipia. Nie można też zaprzeczyć, że tak Stefan jak i Witold są ludźmi zupełnie nie po szlachecku wychowanymi. Pierwszy siedzi jak mól w księgach, drugi pozuje na uczonego agronoma, a nie zna obywatelstwa, uczył się u niemców i jest nawet podobno pozytywistą! Szlachta kiwała na to wszystko głowami, boć przecie „poświecać się" dla „kochanego Kostusia" rzecz łatwa do zrozumienia, ale ratować jakiegoś pozytywistę! to już przechodziło szczyt obowiązków, które nawet klejnot wkłada na uklejnotowanego szlachcica. Najgłośniejsze jednak rozhowory wiodły te gromadki gdzie starym zwyczajem wiejskiej młodzieży, rozprawiano o psach, koniach i kobietach, gdzie kłamano jak powiadają „na funty", gdzie jeden drugiemu nie wierzył

„na łepek od szpilki"— ale gdzie mimo to śmiano się hucznie i bawiono wesoło.

Witold nie miał już tu co robić.—Poszedł uroczyście podziękować panu Sulimie Sulimowskiemu z Sulimowa, który go zapewnił, że dołoży wszystkich starań aby złożyć „komitet"; uściskał pana Piotra Pietrzykowskiego, który go przekonywał przez dziesięć minut o swej gotowości do ofiar, co się „pokaże" w komitecie— i pożegnawszy „kochanego Józia" szczerym uściskiem dłoni, siadł na bryczkę i odjechał bez rozczarowania nadziei, których zbytecznie nie żywił, ale z postanowieniem robienia i na tej drodze co zrobić będzie można. — Witold zanim powrócił do Lipia, zboczył do Zaosia. Był to mały kilka włók obejmujący folwarczek, niegdyś należący do dóbr Słominskich, a który pan starosta pradziad dzisiejszej generacyi Wysokopolskich, odprzedał Skalskim. Skalscy chodzili zawsze wojskowo, choć więc sadyba była szczupła, niedostatek nie kołatał nigdy do tych wrot skromnych, a nawet po okolicznej szlachcie mieli sumki dobrze zapracowanego grosza. Ze zmianą jednak okoliczności w kraju, podupadli i Skalscy, a gdy ojciec obecnego dziedzica Zaosia położył głowę, została się

już tylko sadyba i suma 20,000 złotych na Słomianach, wielce niepewnym ubezpieczona rewersem. Jedyny jego syn Julek, liczył na onczas rok życia, a opieka nad wdową i sierotą dostała się panu Tadeuszowi Saryuszowi, który póty jeździł, póty kołatał, starał się, aż owe dwadzieścia tysięcy ze Słomian wydobył i na prośbę pani Skalskiej umieścił na Lipiu.—Julek po odbyciu szkół w kraju, gdzie się odznaczał zdolnością do matematyki, ukończył warszawskie gimnazyum realne, a stary Bernhard zapalił go do mechaniki. Kiedy po otrzymaniu patentu, wrócił na wakacye do Zaosia, i rozpowiedział o swych upodobaniach, pan Tadeusz osądził, że Julek pojedzie do Belgii kształcić się w mechanice rolnej, bo krajowi fabryk narzędzi rolniczych potrzeba. — Rzecz naturalna, że ani zasoby pani Skalskiej, ani procenta od sumy na Lipiu, wystarczyć na to nie mogły, ale pan Tadeusz umiał pobudzić tego i owego z możniejszych i Julek wrócił inżynierem-mechanikiem, niestety na pogrzeb swego dobroczyńcy i opiekuna. — Nigdy ziarno nie padło na bujniejszą rolę jak natura młodego Skalskiego. Była to bogata organizacya umysłowa, charakter niesłychanej słodyczy i łagodności, połączony

z niemniejszą siłą woli i potężnym hartem ducha, a przytem władnący takim zasobem dobrego humoru, iż żadne zmartwienie zdawało się nie mieć doń przystępu. Jedni posądzali Julka o lekkomyślność, drudzy o brak czułości, to pewna jednak, iż wszyscy uważali się nader swobodnymi z tym człowiekiem o wiecznie śmiejącem obliczu. Skalskiemu jednak nie brakowało ani poczucia, ani pojęcia obowiązków. Mając do zawdzięczenia swe wychowanie obywatelstwu, chciał co najprędzej spłacić ten dług usługami oddanemi okolicy. — Czując swą zdolność organizacyjną, zamiłowany i żądny pracy, jak tylko rozpatrzył się w Zaosiu, natychmiast przystąpił do urzeczywistnienia swych planów.— Na końcu małego ogródka omywanego wartkim potokiem, stał niewielki murowany lamusik, niegdyś zbrojownia rycerskiego rodu Skalskich. Julek z matematyczną ścisłością obejrzał każdy kąt, stare rupiecie odczyścił i do dworku przeniósł, gdzie swój pokoik z wielkim smakiem i gustem starym orężem ubrał.—Było to prawdziwie oryginalne połączenie narzędzi jakiemi władali dziadowie, z narzędziami mierniczemi, modelami machin, stolikami rysunkowemi, któremi miał wojować potomek. Stara grusza pod

oknem, świadek nie jednego pokolenia, ciekawie zaglądała do izdebki, strojąc się co wiosnę białym kwieciem i szemrząc liściem młodemu pracownikowi, który najczęściej wtorował jakąś piosenką półgłosem nuconą. Skalski lubił tu pracować, snując plany coraz oryginalniejsze, coraz śmielsze.— Najprzód jednak po uprzątnięciu lamusa, przerobił go na kuźnię. Wyprowadził wysoki komin, ognisko zaopatrzył w miechy, a miechy poruszył turbiną, którą obracała woda umiejętnie skierowanego potoku. Było to arcydzieło mechaniki, tym więcej zadziwiające, że zbudowane własnoręcznie przez Julka, przy pomocy sił miejscowych. Ta praca zajęła mu pięć miesięcy czasu, bo z wyjątkiem grubych części lanych, które sprowadził z poblizkich fabryk żelaznych, każda szrubka, każda cząstka była tam utoczoną jego własną ręką, na maleńkim szrubsztaku, oheblowana i wygładzona na maleńkim warsztacie stolarskim, które z sobą przywiózł z zagranicy. — Była wiosna. Julek swoje warsztaty umieścił pod słomianym dachem, wspartym na czterech kołkach, gdzie zwykle jesienią pani Skalska układać kazała stóg siana, dla swych faworytek holenderek, jakie z wielkiem pielęgnowała zamiłowaniem.

Dach on stał na podwórzu i czeladź nie bez zadziwienia ujrzała, iż młody panicz, co u niemców się uczył zamorskiego rozumu, o godzinie czwartej rano z zakasanemi rękawami, począł się uwijać przy swoich warsztatach. — Skrzypiało żelazo, piszczało drzewo, warczały warsztaty, a każdej chwili jakaś nowa cząstka turbiny wychodziła skończona z pod zdolnej ręki mechanika. Początkowo parobcy przyglądali się z daleka, potem zbliżyli się do pracującego panicza, a w końcu przestali się dziwić gdy go widzieli heblującego lub wiercącego żelazo, z piosenką na ustach.— Zresztą kochali go oddawna, a skoro im zepsuty pług darmo i dokumentnie zreparował, poczęli go cenić i o jego rozumie wysokie powzięli wyobrażenie.—Ustąpili wszyscy, ale pozostał ciekawym widzem jeden. Był to piętnastoletni chłopiec używany za poganiacza, a zwany „głupim Jankiem"— bo najczęściej pasąc puścił bydło w szkodę, przewrócił wóz z sianem, lub popełnił jakie krzyczące przewinienie wiejskie. — Ojciec Janka nie żałował bizuna twierdząc, że przyczyną tego wszystkiego są psie figle chłopca. — Ale głupi Janek za to, leżąc w cieniu kiedy bydło pasało się w szkodzie, kozikiem wyrzynał takie zręczne zabawki,

że jeno patrzeć — jak mawiali sąsiedzi. — A nietylko miał głowę do zabawek, ale zrobił on jeszcze maleńki wiatrak, tak sztuczny jak naturalny, bo skoro go nastawiono pod wiatr, chodził wybornie i mlił mąkę, bo sztukmistrz nawet w kamienie z miejscowego piaskowca wiatrak swój zaopatrzył.—Otóż Janek był najwytrwalszym widzem prac pana Juliana, zdawał się każdą robotę młodego inżyniera połykać oczyma, co nie uszło uwagi Julka. Doszedł on że chłopiec żywi gorącą chęć uczenia się tokarstwa; obejrzawszy zaś ów młynek pojął, że w Janku tkwią samorodne zdolności potrzebujące tylko rozwinięcia. Zawarł więc z nim przymierze, nie łatwe do wykonania, bo ojcowie okrutnie się bali, aby chłopiec się nie zmitrężył. Dopiero wymowa srebrna — kilku rubli, zwyciężyła ich opór. Janek w charakterze posługacza otrzymał wolność piłowania, wiercenia, heblowania i spełniania wszystkich czynności około warsztatów. Zabrał się do tego chłopak tak gorliwie, iż wkrótce byłby wszystko drzewo wyheblował, wszystko żelazo przewiercił, gdyby Julek nie położył zapałom końca, wdrażając młodego adepta hebla i piły do pracy systematycznej w jednym kierunku. Wreszcie stał się z Janka przewyborny

tokarz drzewa i żelaza; a jego robota była tak gładka, tak misterna, iż nie pozostawiała nic do życzenia. Dwór Julka nieograniczył się Jankiem; za pośrednictwem sprytnego chłopaka zdołał on namówić jeszcze trzech innych, wszystko z sąsiedniej wioski. Trzeba wyznać iż ruble Julka działały tu więcej niż wymowa Janka, a „ojcowie" lubo pod magicznym wpływem zysku ulegli, to przecież niechętnem patrzyli okiem na „wałęsanie się" synów. — Chłopcy chociaż nie mieli zdatności Janka, okazali się nader sposobnymi do ciesielki, a jeden przy małej polowej kuźniczce tak dzielnie dął miechami, iż rozkosz było patrzeć na tego wiejskiego boreasza. — „Gwardya" ta według Julka miała się stać zawiązkiem przyszłej ludności fabrycznej, którą sobie jednocześnie z turbiną stwarzał o własnych siłach młody inżynier-mechanik.— Mówiącym mu, że lepiej zrobi sprowadziwszy z Warszawy lub z zagranicy robotników, że nieopłaci mu się praca nad twardymi chłopakami — śmiał się Julek w oczy, twierdząc, iż nie jest przyzwyczajony aby mu pieczone gołąbki szły do gąbki, że on chce przemysł szczepić na polskim gruncie polskiemi siłami a nie sprowadzać robotników niemieckich,

którzy dla tego do nas przychodzą, bo się we własnej ojczyznie okazali niezdolnymi. — Jakoż w miarę postępowania robót koło turbiny, rozwijały się i zdolności — chłopaków, a ich przywiązanie do młodego pana niemiało granic.

— W końcu lata gotową była turbina, oraz części drzewne i żelazne do ustawienia kilku warsztatów; na podwórzu wznosiły się ogromne stosy desek i belek przygotowanych do wystawienia budynku, któryby pomieścił fabrykę. — Przystąpiono też wnet do pracy, a najęci murarze i cieśle przy pomocy chłopców, wykonali w miesiąc świetne plany Julka. Przerobiono lamusik murowany na kuźnię o wzniesionym wysokim kominie; przystawiono do lamusika długą dobrze oknami rozwidnioną galeryę drewnianą, pokrytą ogniotrwałą dachówką. Wreszcie, ustawiono machiny, warsztaty i pewnego poranku sąsiedzi ujrzeli, iż w fabryce wszystko chodzi według woli Julka. Dudniała woda w turbinie nadającej ruch warsztatom, sapały miechy, dymił komin wysoki, furczały tokarnie. A ponieważ nastała jesień, z nią długie wieczory, świeciła się fabryka od ogniska i lamp co gorzały przy warsztatach.

Okoliczni włościanie widząc to wszystko kiwali głowami. Ponieważ turbina nie była zupełnie podobną do olbrzymiego skrzypiącego koła młyńskiego, wydawała im się przyrządem podejrzanym; komin wysoki wyrzucający snopy iskier — niebezpiecznym, lubo Julek umyślnie w lamusie fabrykę umieścił, aby była zdala od wszelkich budynków mieszkalnych, przegrodzona od nich rzeką, a z drugiej strony drzewami starego ogrodu. Świecące okna wieczorem przestraszały, a fabryka zdała się pałacem lucypera. — Na dobitkę, z wiosną zaszedł wypadek, który niemało utrudnił stanowisko Julka w obec ludu. Skutkiem wiosennych roztopów wezbrała rzeczka nad miarę i zatopiła poniżej położony i najfatalniej urządzony młyn, a zerwawszy grobelkę zalała przyległe łąki, będące naówczas własnością klasztoru. Ksiądz przeor Słomiński dowiedziawszy się o nieszczęściu zawyrokował, iż przyczyną była turbina fabryki, i przyjacielsko wezwał Julka aby groblę własnym kosztem zreparował, a straty klasztorowi nagrodził. Napróżno młody inżynier przekonywał, że przyczyną katastrofy było niedbalstwo klasztoru w utrzymaniu grobelki, która nie naprawiana od wieków, musiała prze-

cież koniec końców uledz naporowi wody, że podobne wypadki miały miejsce już i dawniej; przeor od swoich żądań nie odstąpił, a gdy Julek stanowczo oświadczył iż zadość im uczynić nie myśli, klasztor stał się nieprzyjacielem fabryki. Zakonnicy źle się wyrażali o przedsiębiorstwie, które rozpoczęte bez Boga, nie może się spodziewać błogosławieństwa Bożego; rozszerzono się w kazaniach o złym przykładzie jaki dają robotnicy fabryczni, o piekielnej sile, która kręci maszynami wynalezionemi przez niedowiarków i bezbożników. Czy puszczone były w ruch i inne sposoby, Julek na razie nie wiedział, i miał się o tem dopiero w przyszłości przekonać. Zresztą nie zwracał na tę okoliczność uwagi, miał bowiem i tak dosyć kłopotów do pokonania. — Ażeby wznieść budynek, zaopatrzyć go jako tako w narzędzia i surowy materyał, niedość było mieć zdolności, piękne rozumne plany, żelazną wolę i zdrowe ręce. Co tylko od tych przymiotów zależało, Julek śmiejąc się, z piosenką na ustach — wypełnił. Ale na komin potrzeba było cegły, na budowę drzewa i żelazo należało kupić. Słowem okazała się potrzeba pieniędzy. — Pieniędzy z początku dostarczała matka Skalska. Zamaszysta

dama obwiązawszy głowę wzorzystą chustą, nadziawszy długie buty, gospodarowała od rana do nocy na swem maleńkim, ale dawną rządnością zasobnym folwarczku. Julek bardzo nie wiele wtrącał się do tego gospodarstwa, zaprowadził lepsze obchodzenie się z nawozem, poradził to i owo, a zresztą widząc że wszystko idzie z zegarkową punktualnością, zostawił po staremu, czem się niezmiernie szczyciła matka, iż na wet taki mądry syn nieznalazł nic do przygany. Posiadała też pani Skalska „pod przyciesiem" kilka groszy, owoc krwawej pracy, długiej oszczędności, zachowane na złą godzinę. Ten fundusik powoli wydobył Julek od matki i użył na budowę fabryki. — Stara kobieta zrazu nie ufała zamiarom syna... wymownie objaśniane projekta nie szły jej do głowy — ale skoro ujrzała tyle pracy, tyle poświęceń ukochanego Julka, zainteresowała się i pomagać mu zaczęła z zapałem. — Wkrótce mały fundusik pani Skalskiej zamieniony został na cegłę, drzewo i żelazo. — Pokazało się dno woreczka — a potrzebom nie było końca. Julek pracował podwójnie. Niechno tylko, mówił, zdołam wystawić pierwszych kilka pługów bron, sieczkarni i młynków — a no to się ruch,

pieniężny zrobi. Julek się nieomylił — okolica istotnie potrzebowała podobnego zakładu, więc nie brakło na zamówieniach, reparacyach, a nawet chęci kupna — lecz obywatelstwo przyzwyczajone do brania wszystkiego u żydów na kredę, wymagało od fabryki kredytu. Odmówić było to odrazu zepsuć sobie interes, było to na długie lata zwichnąć przedsiębiorstwo.—Otóż Julkowi zdało się słusznem, iż chcąc dawać kredyt, należało z kredytu korzystać. Zakołatał więc tu i owdzie do zamożniejszych obywateli, przedstawiając im interes i właściwe korzyści, ale się przekonał że na tej drodze nic się nie da osiągnąć. Trzeba się więc było zwrócić w stronę tradycyi, poszukać pieniędzy u żyda. Przecież zupełną miał pewność zaciągając pożyczkę, gdyż suma dwudziestu tysięcy lokowana na Lipiu, od dwóch lat była już wymagalną i dawała wszelką gwarancyę. Ale okoliczni krezusi okazali się nieprzystępni do traktowania; interes zdał im się zbyt zawiły i niepewny, a suma na Lipiu to już jedynie do kompetencyi Szlomy należała. Widocznie działało tu straszne prawo „chazuka".—Może o tem nie było mowy, pewno nikt w tym względzie nic nie wspominał, ale działo się to tradycyą, zwyczajem,

które interesa pewnych miejscowości zostawiały w rękach jednych i tych samych rodzin żydowskich.—A i Szloma zrazu niechciał słyszeć o pożyczce i dopiero po naradzie z p. Brobkiem zgodził się dać najprzód tysiąc, potem jeszcze pięćset rubli na terminowe weksle. — Julkowi gdy po raz pierwszy kładł swój podpis na zdradnym wekslowym papierze, zadrżała nieco ręka, ale czyż nie miał wszelkiej pewności, czyż potrzebował się choćby trochę obawiać, czyż nie gruntował tym sposobem fabryki, mającej się stać źródłem bogactwa nie tylko jego samego, ale i okolicy..? Jakoż robota raźniej poszła, ale kapitał okazał się jeszcze niedostatecznym. — Julek z utęsknieniem wyglądał realizacyi sumy na Lipiu — tym więcej że termina na weksle nadchodziły. Ku wielkiemu jego zdziwieniu, weksle nie znalazły się w rękach pana Szlomy, ale przetrasowane na jakiegoś dziesiątego żyda, który z niemałą zaledwo biedą i z dopisaniem ogromnego procentu, dał się namówić do odłożenia terminu. Termin ten wielce niepokoił Julka, a chociaż nie przestał on śpiewać, ani śmiać się, ani z zapałem pracować — to jednak w głębi duszy lękał się jakiej katastrofy, która mogła pochłonąć nie tylko

fabrykę, ale co gorsza folwarczek, jedyne źródło utrzymania starej matki, która się zżyła z temi kątami, z temi polami, z temi stronami i pewnoby nieprzeniosła straty rodzinnego gniazda. Młody inżynier widział, że fabryka się rozwija, że ma przyszłość przed sobą, że potrzeba tylko chwilkę cierpliwości, aby stanęła samoistnie — ale czy będzie po temu czas? czy fatalny termin wprzód jej nie zagrzebie? Julek był naturą tak szczerą, iż w niczem nieskrywał się przed matką, chociaż nie wypowiadał jej swych obaw. Pani Skalska rozumiała się na interesach, popierająo syna czuła czem to grozi, i nie przerażająo Julka czczemi żalami, starała się zapobiedz katastrofie; pracowała więc u pana Brobka nad wydobyciem sumy lokowanej na Lipiu, jak to już widzieliśmy poprzednio. — Ale nie mogła ani przewidzieć ani przypuścić pani Skalska, iż zdrową głowę sama kładła w paszczę krwiożerczemu wilkowi; nie przypuszczała, aby po za Szlomą i tuzinem innych żydów, którzy się jako właściciele wekslów prezentowali—stał właściwy posiadacz pan Brobek i wekslami temi zarówno mierzył w jak najtańsze kupno sumy lokowanej na Lipiu, oraz w wyzucie Skalskiej z folwarczku, który miał

zaokrąglić Lipie i Słomiany — przedmioty długoletniej pożądliwości szlachetnego komisarza. — Teraz jednak niebył jeszcze czas uderzyć w Skalskich, zbyt gwałtowne postępowanie mogło pana Brobka skompromitować i zepsuć cały, tak mozolnie budowany interes.

Julek więc martwił się w skrytości, śpiewał głośno i pracował przy pomocy głupiego Janka; pani Skalska chodziła koło swego gospodarstwa popłakując na osobności i obliczając godziny fatalnego terminu— gdy przed folwarczek zatoczył się faeton Witolda i nasz bohater ruszył do pokoju inżyniera. Młodzi ludzie kolegowali w szkołach, chociaż Witold jako kilka lat starszy był o parę klas naprzód wysuniętym; ale pasowali do siebie charakterami i poglądami na życie. Obaj byli biedni i własną pracą postanowili stworzyć nietylko los własny, ale i przyczynić się do stworzenia owego społeczeństwa na warunkach nowożytnych, co jedynie może zbawić pokolenia i nadać im siłę w straszliwej społecznej walce o byt. Jeżeli się będziemy upierali i w czasach, kiedy wszyscy chodzą w szarych chłopkach, chodzić będziemy w czerwonym kubraku, wystawimy się niechybnie na zgubę, tak jak czarny lis w po-

śród białych, na śnieżnej podbiegunowej płaszczyznie.

Witold był cały jeszcze pod wrażeniem przebytej sceny: widział ostatnie swe nadzieje rozwiane, zupełne niepodobieństwo utrzymania się przy Lipiu i konieczność szybkiej decyzyi w powzięciu postanowienia, co mu z sobą robić dalej wypadnie. Siedzieć tu na Lipiu, marzyć a raczej próżnować, nie zgadzało się ani z jego przekonaniami, ani z jego charakterem. Im prędzej się nawet ztąd wydostanie, — tym lepiej, zyska tylko na czasie. A jednak nie szło Witoldowi łatwo zrywać wszystkie nici, co go jawnie i tajnie wiązały z kątem rodzinnym. Widok Zaosia pełnego ruchu, sztuku i życia, widok przyjaciela, który w swej izdebce otoczony papierami, narzędziami, zbrojami i całym arsenałem rysunkowym zdawał się siłą twórczą, rządzącą tym małym światem, nie wpłynął uspokajająco na młodego człowieka. Czuł tu pracę, żywotność, ideę wprowadzoną w rzeczywistość, kiedy on stał dopiero nad brzegiem, niepewny co czynić. Julek tak pilnie pracujący nad arkuszem papieru zapisanym liczbami, wydał mu się bardzo szczęśliwym, a skromny obrąb działalności i trudów, prawdzi-

wem dobrodziejstwem życia. Naturalnie, Witold który lata w Zaosiu niebył, nie znał stanu interesów swego przyjaciela, nie domyślał się jaki to robak toczy pracę młodego fabrykanta i przegryza żywotne nici jego przedsięwzięcia.

Julek z radością podskoczył ku wchodzącemu koledze.

— No mój królu — zrobiłeś mi niespodziankę! Nie widząc cię myślałem, żeś tam gdzieś zarystokraciał, o Zaosiu zapomniał.

— Raczej tobie — odparł Witold — zrobić by trzeba zarzut, żeś Lipia zaniedbał. Ale się nie dziwię, szczęśliwy rad zapomina o reszcie świata!

— Ja? szczęśliwy?! zapominając się w swej roli zawołał Julek.

— A czyż tu ze wszystkiego nie uśmiecha się szczęście?... Masz własny kąt — stworzyłeś sobie cel pracy, do którego idziesz pewnym krokiem...

— A chwal, chwal — zaśmiał się gospodarz — klaszcz! klaszcz! tyś sędzia kompetentny... Ale łatwiej podobno stworzyć niż utrzymać... fortuna na pstrych koniach jeździ.

— Przynajmniej ty trzymasz lejce tych rumaków i poprowadzisz ich tam gdzie zechcesz. Ale ja? Wiesz co, w tych dniach opuszczam Lipie.

— A toś grzeczny — przyjechałeś żeby powitać i pożegnać zarazem.

— Trochę w tem prawdy, wyjeżdżam i jak sądzę na zawsze.

— Na zawsze?

— Cóż chcesz żebym tu robił — nie każdy jest Julkiem Skalskim i umie własnoręcznie stawiać fabryki. Ja jestem rolnikiem, potrzebuję warsztatu od natury.

— A Lipie czyż nie twoje?

— Dajże pokój mój Julku czczym słowom. Czyje tam jest Lipie, to niech hypoteka wykaże. Płynąć przeciw wodzie, walczyć z niepodobieństwem, może tylko głupiec. Sądzę masz mnie za rozsądniejszego...

Tu Witold opowiedział krótko stan majątkowy Lipia, niepodobieństwo utrzymania majątku i ostatnią wyżebrania pomocy próbę z której powracał.

— Widzisz więc bracie, z próżnego nic się nie naleje, ja robię cesyę co do mej osoby na rzecz Stefana i sam zajmę się wyszukaniem miejsca rządcy, administratora cudzego majątku. Myślę że z czasem uda mi się wypłynąć na powierzchnię.

— Ach chcesz się rzucić na cudzy gorzki chleb — najdrobniejsza niezależność, lepsza...

— I ja jestem tego zdania, ale każda niezależność wymaga aby na nią zapracować. Zresztą trzeba pamiętać że Stefan wkrótce znajdzie się bez dachu; jako rządca znaczniejszego majątku, będę mógł mu udzielić schronienia i spokoju, koniecznych do jego pracy. Ty Julku to rozumiesz, spełniając swój obowiązek względem matki.

— O! wyszeptał gospodarz nagle blednąc na myśl, iż lada godzina może być wraz z ukochaną matką pozbawiony własnego dachu. Liczył, że przybycie Witolda położy koniec zagmatwanym interesom Lipia i zwolni sumę Skalskich na hypotece tego majątkn lokowaną. Teraz widział płonność swoich nadziei.

Witold nie zauważył wzruszenia przyjaciela— zbyt zajęty był sobą w tej chwili.

— O nie uwierzysz mi mój Julku! rzekł poważnie — z jak rozdartem sercem opuszczę te strony. Nigdy nie sądziłem żeby mię to kosztowało tyle. Ale wiesz lepiej niż kto inny, że oddalając się wszystko tracę...

— Nie przypuszczam i ani tak myśl i ty... zostaną ci wierni twoi — przyjaciele i to serce...

Witold położył palec na ustach Julka.

— Nic, nic nie mów, to mnie osłabia. Tak dziś, jutro muszę jej wszystko powiedzieć! Dawnoś tam był?

— E! mnie tam nikt nie czeka—szepnął cicho Julek. Ale wiesz, rozśmiał się... że wyglądamy jak dwaj rozbeczeli malcy. No bracie, sursum corda! Postanowiłeś już w którą się udasz stronę... a może masz miejsce?

— Nie, pojadę do stolicy, tam się lepiej będę mógł rozpatrzeć.

— Wiesz co? przychodzi mi pomysł. Znasz księcia Jerzego?

— Nie znam — ale słyszałem — ten książe szewc?

— A jakże, oryginał i powiadają że trochę lichwiarz, trochę wyzyskiwacz — ale w każdym razie Krezus... Otóż co do mnie, mówię ci że ja tylko połowie tej opinii wierzę... a mianowicie że jest Krezusem i oryginałem...

— Znasz go bliżej.

— Trochę — a nawet miałem sposobność oddać mu niewielką przysługę — drobnostkę.

— Cóż takiego?

— On twierdzi, że uratowałem mu życie — ale jest w błędzie. Krótko ci opowiem. Przed pięciu laty z mantelzakiem na plecach błąkałem się po Szwajcaryi przypatrując nieco widokom, nieco ludowi, a najwięcej fabrykom. Organizowano wycieczkę na Matterhorn, do której i ja na piechura się przyłączyłem. Jedną z osób które zwróciły moją uwagę był wysoki, rozrosły, bardzo sztywny mężczyzna, wyrażający się dobrą niemczyzną — ale widocznie nie stworzony do karkołomnych ekskursyj górskich. Stąpał tak niezgrabnie, a wiedząc o tem tak bojaźliwie, iż mógł pogardę wzbudzić w każdym rodowitym góralu. Jednakże siłą woli przezwyciężał swoją nieśmiałość i z godnym uznania zapałem, odwiązawszy się od sznura, przodował innym w przebyciu najniebezpieczniejszych ścieżek. Ale z górskiemi przepaściami nie ma żartów, a zmysły są od nas silniejsze... i nieborak gdy mu się zakręciło w głowie, byłby zmierzył dno otchłani, gdybym spostrzegłszy nie podał mi ręki nad samym brzegiem. Położenie było głupie, bo w dole bielał ostry kant lodowca Furgengletscher, o który nie jeden już łepetynę sobie roztrzaskał — a mój nieznajomy leżał omdlały, z zamkniętemi oczyma, nieruchomy. Niepodobna

mi było poruszyć tego kolosalnego ciała, a nikt z towarzyszy nie ryzykował się przyjść aż nad brzeg przepaści. Zakląłem po polsku zniecierpliwiony — gdy nagle mój jegomość otworzył oczy i najczystszą polszczyzną zapytał:

— To pan jesteś polak?

— Jak pan słyszysz.

— A gdzież ja jestem?

— Nad brzegiem przepaści i na drodze rozbicia się o Furgengletscher.

— Rozumiem i gdyby nie pańska pomoc byłbym zmierzył odległość wierzchołka Matterchornu od podstawy, w prostej linii.

— Nie mogę zaprzeczyć.

— Pomóż mi pan odwrócić się twarzą od tej przeklętej przepaści, gdyż nie mogę tam patrzeć bez zawrotu głowy.

Stanąłem na skraju i mój nieznajomy szybko powstał, uśmiechnął się dobrotliwie i podając mi rękę, rzekł:

— Jestem Jerzy Kalita, z kimże mam przyjemność?....

Przedstawiłem się — bo nazwisko księcia nie było mi obcem. Długo nie będę cię nudził dalszem opowiadaniem — powróciliśmy do śmiertel-

nie przestraszonego towarzystwa. Myślałem że po tym wypadku książę zaniecha dalszej wycieczki, wcale nie — kazał się tylko przywiązać sznurem i pilnować przewodnikowi. Gdyśmy wrócili na dół, książę prosił aby mógł mi towarzyszyć w wycieczce po Szwajcaryi. Starałem mu się wytłumaczyć różnicę sposobu odbywania podróży z jego i mojem woreczkiem, ale nie dał się przekonać i dla mojej przyjemności puścił się dalej piechotą w drogę. Tak wałęsaliśmy się blizko miesiąc po różnych kątach ojczyzny Tela... i wyniosłem ztąd przekonanie, że książę Jerzy jest najrozumniejszym człowiekiem jakiego kiedykolwiek znałem. Czy jest równie przewrotny i skąpy jak rozumny, tego nie powiem, bom go już od owej chwili nie widział. Gdyśmy się rozstawali, prosił abym go odwiedził w Warszawie; namawiał mię też do założenia fabryki maszyn w jego Ukraińskich dobrach, ale jak wiesz inne już zaciągnąłem obowiązki, a zresztą rodzinne Zaosie wabiło mię przedewszystkiem.

— A.. a.. ponieważ sam bałeś się księcia, więc radzisz mi abym się do niego udał.

— Eh próbować, co to szkodzi. Jeśli mam sądzić z tego co ten człowiek mówił, nigdy nie

przepuszczam aby należał do rzędu pospolitych wyzyskiwaczy. Jest to wysoki rozum, a ponieważ nie traci pieniędzy na zwykłe zbytki, na które tracą ojcowiznę nasi magnaci, więc go okrzyczano skąpcem i przemysłowcem.

— Dobrze, zeskontuję twoją rolę wybawcy i każę sobie zapłacić dług, który u ciebie zaciągnął książę Jerzy!

— I owszem, niech płaci, a będę szczęśliwy jeśli przyda ci się na co moja rada.

Przerwała rozmowę pani Skalska. Zamaszysta niewiasta uwiadomiona o wizycie Witolda, przygotowała już wszelkie przysmaki podwieczorkowe i nie łatwo było wymówić się przed jej gościnnością. Poczciwa kobieta pomimo utajonych zgryzot, napawała się rozkoszą słysząc wesołe żarty, jakie sypał Julek, któremu Witold otrząsając się całą siłą ze swych wrażeń, dopomagał żarliwie.

Ci troje ludzi każde kryjąc miotający niepokój i obawę, okradało zgryzotę z należnej dani.

— A teraz pójdź Witoldzie obejrzeć moje dziedzictwo, moją fabrykę, pójdź i klaszcz, bom wart poklasku takich dłoni jak twoje — rzekł Julek biorąc kosztur i czapkę.

Kiedy stanęli przed lamusem, który furczał i błyszczał wewnętrznym ogniem, zawołał znów gospodarz:

— To embrion! po prawej i lewej stronie postawię dwa skrzydła — tam urządzę dwa piece kopulowe, a tu walce — zbuduję machinę parową i całej okolicy dam zarobek... Gdy się zjawią twarde żołądki robotnicze do trawienia, rolnik z większą korzyścią sprzeda swe płody. W tej oficynie na prawo będziemy mieli szkółkę i ochronę z salą czytań niedzielnych, a na tym placyku urządzę zabawy dla młodzieży... powiadam ci będzie to rzecz cudowna! No naturalnie, trzeba parę latek poczekać, boć nierazem Kraków zbudowany... Powiadam ci to embrion, który się rozwinie.... jeżeli ten rok przetrwam — dodał zcicha wzdychając.

V.

Zachodzące słońce jaskrawemi promieniami oświecało chaty Lipia, rozrzucone po obu stronach głębokiego jaru, na dnie którego mknął potok spieniony. Od wygonu dążyła, podnosząc chmurę gromada bydła i owiec, stanowiących dobytek rol-

nika; z pól położonych na górach, schodzili żeńcy pobrzękując w sierpy i kosy... a w chatach trzaskał na kominie ogień, przy którym skrzętne gospodynie przygotowywały wieczorny posiłek. Małe dziewczęta pomagające matkom, w białych koszulkach i drelichowych spódniczkach, czerwononagie blondynki, z dzbankami szły do stoku, a dziatwa drobniejsza albo czepiała się płotów okalających ogródki przy domostwach, albo wdrapywała się na szczyt urwiska co sterczało przy zakręcie drogi. Z pod lasu ulatywały tony urwanej piosenki... Słowem panował tu ruch przedwieczorny — który siołom naszym pod koniec dnia nadaje tak powabny widok.

Drożyną z głębi wioski szedł ksiądz — można nawet powiedzieć biegł, tak przyspieszone były jego kroki. A nie łatwo mu to przychodziło z wielu względów. Sama postać duża i podsiadła, stanowiła pewną przeszkodę. Utkwiony w długich butach ze sztylpami, w szczelnie zapiętej rewerendzie i ogromnym kapeluszu słomianym na głowie, ociemniającym czerwone grube, poczciwością tchnące oblicze, proboszcz stawiał duże kroki, mocno machał rękami, a od czasu do czasu obcierał z czoła pot, wielką kraciastą chustką. Przed księdzem biegł mały chłopak wiejski i mówił:

— Panienka kazali powiedzieć Jegomości, że Przeor ze Słomian przyjechał i czekają.

— Dobrze już dobrze — idę, biegnę — a słodkie Imię Jezus — cóż tam Matuszowa twój Janek, już zdrów? zapytał ksiądz kobiety co mu się chyliła do nóg.

— Niech będzie pochwalony, oj Dobrodzieju zdrów, niech Jegomości Pan Bóg i Matka Najświętsza wynagrodzi — a to po tym leku jakby ręką odjął.

— Nie puszczajcie tylko dziecka w chłód... ja jutro do was zajdę... Zostańcie z Bogiem!

I niesłuchając dziękczynień wieśniaczki, ksiądz wielkim krokiem szedł dalej. Ale wnet troje mu zabiegło dzieci, zrazu szparko a potem z trochą, wiejskim malcom właściwą obawą, skłonili się do nóg.

— No.. no... rzekł ksiądz przystając i głaszcząc pyzowate twarze... tatulo pozwolili przychodzić na plebanię?

— Tak, proszę Jegomości.

— To jutro, gdy inne dzieci będą szły na pacierz do mnie, przyjdźcie razem.

Dzieci ucałowały rękę księdza i stały, patrząc za nim, na drodze.—Jakaś kobieta wiejska chciała zabiedz, ale machnął chustką.

— Późniéj, późniéj — spóźnię się z kretesem.

I tak mijał gromadki szybko odpowiadając na „pochwalonego”, a kobiety szeptały: „o lo Boga czy się co złego nie zdażyło na plebanii, kaj jegomość tak spieszą!” Tymczasem ksiądz już mijał ostatnie domostwa wsi, kiedy przy drodze stanęła może piętnastoletnia dziewczynka w gorzelni, bosa, ciemnooka, płowo włosa. Trzymała w ręku książkę. Chciał i ją minąć, ale patrzyła tak błagalnie, iż starowina się zatrzymał.

— Przeczytałaś moje dziecię? to dobrze, bardzo prędko czytasz.

— Kaj to tak piękne — szepnęło dziewczę.

— Dobrze, więc przyjdź jutro do Zosi, coś tam nowego wybiorę... wybiorę z pewnością.

Dziewczę się skłoniło, a ksiądz przyśpieszając kroki mruczał:

— Powiadają że wieśniak nie chce przyjąć słowa dobrego, że nie ceni oświaty — a no tak, jak mu jej nie dacie, jak jej nie zna, to i cenić nie może!

Tu zaczynała się długa stoletniemi kasztanami wysadzana droga, prowadząca aż do wrót muru okalającego cmentarz przy kościołku, który wznosił się na szczycie góry. Z drugiej strony u pod-

noża wśród wiśniowego sadu, bielała plebania z niektóremi gospodarskiemi zabudowaniami, wszystko uplecione gęsto dzikiem winem i krzakami bzu, a przy ganku głównego dworka rosły dwie olbrzymie lipy, szeroko rozpościerające cień w znojne dni lata. Ksiądz wchodząc we wrota podwórza, machał przyjaźnie chustką do siedzącego na ganku przeora kapucynów z sąsiednich Słomian. Był to mężczyzna kolosalnych rozmiarów, można powiedzieć potwornej otyłości, żadne jednak ślady nadużycia nie kaziły jego postaci. Tusza przeora była wadą natury, ale nad tem ogromnem ciałem panował obyczaj, ascetyczna siła woli, rozum. Twarz jego delikatna i mimo otyłości dobrze zarysowana, nie wyrażała zwykłego pociągu do półmiska i butelki, owszem nosiła pewien wyraz powagi i dobroci i gdyby nie troszkę niespokojne oczy, budziłaby zupełną ufność. — Jego ogromna doskonale utrzymana ręka, bawiła się lekko z wiszącym u pasa przepysznie rzeźbionym kokosowym różańcem, a nieposzlakowanej czystości noga, obyczajem kapucynów bosa, wychylała się z pod habitu na szerokim wsparta trepku. Jedyną oznaką rozpieszczenia tego olbrzymiego ciała, była miękka i bardzo sta-

rannie wykończona odzież. Habit utkany wprawdzie z samodziału, ale tak regularnie i cienko, iż w dotknięciu naśladował aksamit, mankiety koszuli odznaczały się kredową białością; na piersiach wił się delikatny misternej roboty łańcuszek złoty od pięknego brylantami wysadzanego cylindra, któremu się w tej chwili ojciec Anzelm z uwagą przyglądał.

— Godzinę — całą godzinę czekam — mówił zakonnik głosem łagodnym i charmonijnym, co zawodziło oczekiwania słuchacza, który się spodziewał usłyszeć z tej bryły ciała jakieś chrapliwe i tubalne dźwięki—no ale czekam cierpliwie, boć kanonik musiałeś tam przecie wszystkich swoich chorych odwiedzić i siła dzieci wyegzaminować... Już to nie darmo chodziłeś Jegomość do wsi — pogroził towarzyszowi tłustym palcem.

Ksiądz Paweł Skoryna, tak się bowiem nazywał kanonik i proboszcz w Lipiu — obcierał swe uznojone czoło wielką chustą i uśmiechał się poczciwie, witając gościa z jakimś odcieniem ceremonialnego szacunku.

— Ale się nic nie stało—ciągnął dalej przeor—przyjęły mię tu twoje dziewczęta i bawiły dopóki nie nadeszli kawalerowie, no trochę zabawniejsi

odemnie... Pan Witold Saryusz i pan Julian Skalski... wyprawiłem ich wszystkich do ogrodu... a sam pogawędziłem z Juliuszem...

— Z Juliuszem, pochwycił trochę bojaźliwie ksiądz proboszcz — poczciwy chłopak, nieprawdaż? wielka zdolność, wielkie będzie wykształcenie szkoda tylko że trochę nerwowy, — zdrowia ma też nie dużo.

— Juliusz bezwątpienia jest młodzieńcem bardzo zdolnym i wiele rokującym i byłaby niemała szkoda, gdyby ta inteligencya bezpożytecznie się zmarnowała, a co gorzej gdyby ta bogata natura poszła w złym kierunku. Ot wyrósłby drugi Witold Saryusz tylko bez krzepkiej podstawy, lub taki wartogłów jak Skalski — dodał przeor głos zniżając.

— A! chciał protestować czy potwierdzać proboszcz, ale go przeor nie dopuścił do głosu:

— Któż wątpi o zacności tych panów, tylko ta zacność jest opoka martwa, a świat żyje żywemi siłami. Ci panowie pozytywiści czy tam materyaliści bardzo są porządni ludzie, ale tak się zaprzęgli do swej taczki fabrycznej, że im wszelkie sprawy ducha są obce. A powiedzże księże kanoniku, czy bez ducha może być świat zbawiony?

— Mnie się zdaje, rzekł proboszcz zasiadając na ławce, że tym młodym jak tam ich nazywają pozytywistom, także idzie o wyzwolenie człowieka z pod gniotącej go materyi.

— Tak, ale jaką drogą?! Zbogać się, opływaj w dary ziemi — na to i użyj ich i nadużyj. Nie, nie! Cóż zresztą ztąd za skutki? To grozi rozpasaniem, potarganiem węzłów społecznych. Nie dotykam szkód, jakie zrządza ten kierunek religii — jako kapłanom niegodzi się nam o tem wątpić. Nigdy społeczeństwo nie wymagało bardziej pomocy duchownej, nigdy nie okazuje się więcej potrzeby ofiary czystej, a tu Kościół w upadku, w pognębieniu.

— Mój przeorze i cóż my na to poradzim — rozstawił ks. Paweł rozpaczliwie swe szerokie ręce. Ja myślę że skoro kapłan spełni to wszystko co do niego należy w czynie, skoro się jak należy poświęci swym owieczkom i biednym, to i łaska Boża będzie z Kościołem.

— Proście a będzie wam dodane — tak mój kanoniku — mało to jest zapełnić probostwa dobremi uczynkami, Chrystus dał swym namiestnikom władzę rozwiązywania i zawiązywania, a czyż mają oni moc spełniać swój urząd, skoro Kościół w niewoli?

— Ale cóż my na to poradzim? możemy się modlić tylko o błogosławieństwo Boże dla Kościoła.

— Modlić się... modlić... naturalnie to rzecz konieczna, zbawienna, ale powinniśmy jeszcze Kościołowi pomódz przez przymnożenie mu sił, zdolności, cnót, wiedzy...

— Najniezawodniej, najniezawodniej.

— Ja też kanoniku w tym tu interesie przybyłem — odebrałem listy z Rzymu.

— Z Rzymu? powtórzył jakoś trwożnie ksiądz Paweł.

— A tak, pisze mi brat Chryzolog, iż teraz właśnie wakuje w Cannes we Francyi jedno miejsce seminarzysty i jeżeli ten młodzieniec, o którym dawniej mu doniosłem, czuje powołanie i chęć poświęcenia swego życia służbie Bożej, niechaj przyjeżdża.

— Już? wyrwało się księdzu Pawłowi? — już, ależ on taki młody, taki wątły i ma jechać tak daleko, do obcych...

Przeor był przygotowany zapewne na ten opór; po jego pełnej twarzy przebiegł dobrotliwy uśmiech, choć oczy strzelały żywiej niż zwykle.

— Juliusz jest wprawdzie wątłym, ale to jeden więcej powód aby poświęcił się służbie Bożej; nie nalegałem póki nie skończył szkół — ale teraz skoro ma dwie drogi albo zatracić ducha bezpożytecznie dla naszej i Kościoła sprawy na jakim z fakultetów uniwersyteckich, albo oddać się wielkiemu dziełu odrodzenia, które tylko Kościół pobłogosławić może — teraz czas wybrać... Zresztą badałem Juliusza...

— Badałeś przeor... no i cóż... cóż?

— Chłopcu troszkę widać w szkołach głowę zmącono, albo coś mu w serduszko zajechało — ale mimo pewnego wahania, zgadza się jednak.

— Zgadza się?...

— Naturalnie, zawsze się odwołuje do ciebie kanoniku, bez twojej woli nic nie postanowi i nie postanowił — tyś mu opiekunem, ojcem z ducha...

— Otóż ojcze Anzelmie i mnie się zdaje czyby nie odłożyć też ważnej sprawy—niechby się chłopiec w świecie rozpatrzył, niechby poczuł sam powołanie... przecież nie można być dobrym księdzem, jak nie można być dobrym artystą, wielkim uczonym bez powołania. Niech skończy uniwersytet, a wtedy zobaczemy...

— Tak, niech pozna świat, niech skosztuje wszystkiego, niech wychłodnie, niech się zepsuje, a potem resztki niech Bogu i Kościołowi poświęci. I ty to księże kanoniku mówisz, ty kapłan... I cóż cię to może obchodzić, że Kościół Matka nasza w potrzebie, że społeczeństwo woła: kapłanów mi i ducha, kapłanów zdolnych, gorliwych poświęconych? Ty księże Pawle stajesz między tą młodą duszą a Kościołem i bronisz pierwszej, aby się poświęciła do ratowania owczarni tego, który nam wspólnym Pasterzem.

Przeor mówił to wszystko łagodnie ale z siłą; ksiądz Paweł siedział przybity ze spuszczoną głową.

— Nie, nie, odezwał się nareszcie, nie staję ja między nim a Bogiem, któremu się ma poświęcić, a Kościołem któremu ma służyć. Gdybym ja starzec stojący nad grobem raz jeszcze miał się narodzić, tobym raz jeszcze wybrał moją sukienkę kapłańską, bo ona mi zgodną była z duchem moim i powołaniem. Ale niechby do tego powołania przychodziło się z samowiedzą.

— Ale któż wymaga od Juliusza aby dziś śluby czynił — wszakże tu tylko mowa aby wszedł do seminaryum.

— Znam Juliusza — ciągnął dalej ksiądz Paweł — to serce szlachetne, to dusza pełna ognia; on płonie chęcią poświęcenia się za swe społeczeństwo i sądzi iż na drodze kapłaństwa najlepiej spełni swą ofiarę. Suknia księdza zbliży go do ludu i otworzy mu progi pałacu, będzie mógł pracować dla wspólnego ich dobra... Ojcze Anzelmie, takich szałów, takich chęci, takich marzeń nie wystarcza, aby zapełnić życie kapłana — ja to wiem...

— Zapewne, ale też z wejściem w życiu rozwiną się i inne siły, otworzą i inne horyzonty. Juliusz jest bardzo zdolny, zajdzie w Kościele daleko, kto wie czy go Opatrzność nie wybiera za narzędzie łask swoich. Więc księże Pawle, tobie nie wypada stawać w poprzek woli młodzieńca.

— Niech to sam powie, niech to sam oświadczy po dobrym długim namyśle. Więc poczekajmy...

— Żadną miarą — muszę odpisać Chryzologowi stanowczo, miejsce w seminaryum w Cannes musi być zajęte w ciągu miesiąca..,

— Więc pytaj, pytaj sam Juliusza — ja ci go tu przyślę — ja nie staję na drodze, ale wolałbym aby się decydował później.

Starowina trzęsąc się poszedł w ogród szukać swego młodego wychowańca. Zastał go w altanie

schylonego nad arkuszem chińskiego papieru, na którym wodnemi farbami malował bukiet niezapominajek.

Młodzieniec nie liczył więcej nad lat siedemnaście — jego blada, nieco jeszcze dziecięca rafaelowska główka, otoczona puklami ciemnych włosów, nosiła wyraz tej nieustannej ekstazy, w jakiej wybrane dusze zostają. W wielkich, dziwnym fenomenem natury niebieskich oczach, paliła się myśl żartka, a z rysunku w jakim zakreślała się linia czoła można było powziąć wyobrażenie, iż młodzieniec nie był pozbawiony owej siły woli, która jest niezbędnym pierwiastkiem każdej niepospolitej osobistości. Znać było że zamiary z jego cięciwy puszczone dobiegną do swego celu po najprostszej drodze, że ta drobna nerwowa postać może urość tytaniczną potęgą. Ale w tej chwili młodzieniec zajęty rozprowadzeniem farb po swym rysunku najmniej myślał o użyciu swych drzemiących sił duszy — ale raczej marząco wpatrywał się w modre oczy sąsiadki, z których brał wzór do swych niezabudek.

Modre oczy sąsiadki Juliusza oprawne były przez naturę bardzo starannie, a nad niemi zatataczała się brew z regularnością matematycznej linii; po nad brwiami zaś rozpościerało się gład-

kie dziewicze czoło strojne do koła w błąd loczki, prawie płowych włosów, złączone ku tyłowi głowy i splecione w dwa grube warkocze spuszczone prześlicznych kształtów szyję, puszystym meszkiem leciuchno pokrytą. Tym kilku wybitnym szczegółom odpowiadała reszta całości, składając się na prześliczną dziewczynę. W ręku trzymała jakąś robótkę drobną i z uśmiechem przyglądała się postępowi roboty młodego rysownika.

Tuż obok siedział znany nam pan Juliusz Skalski, trochę niezgrabnie wyprostowany, milczący i nieswój w obec tych młodych dzieci. Idąc za śladem jego spojrzeń trudno też było wątpić, iż nie było mu dziewczę obojętne, że się pieścił temi bogatemi choć jeszcze tak wiotkiemi kształtami przyszłej kobiety, która teraz zupełnie niezwracała nań uwagi, zatopiona w rysunku niezabudek, do jakich własne jej oczy służyły za model. W głębi ogródka drożyną przechadzali się pan Witold Saryusz z starszą siostrą dziewczęcia — Maryą.

Ciszę przerwało nagłe zjawienie się księdza Pawła, którego poczciwa twarz zdradzała wewnętrzne wzruszenie.

— Mój Juliuszu — mówił po powitalnych formalnościach — mój Juliuszu — idźno do ojca Anzelma — czy to być może, zgadzasz się jechać...

Na ustach chłopca pojawił się uśmiech, kilkoma energicznemi poruszeniami pędzla skończył robotę i powstając rzekł:

— Finis — idę mój wuju, idę — czekaj na mnie Zosiu!

I wyszedł z altanki niknąc za krzakiem bzu.

— Co to jest? poruszyła się ku księdzu Pawłowi dzieweczka niespokojnie— co to jest, mój wujciu — gdzie Juliusz jedzie.

— Cicho szczebiocie — w tej chwili jeszcze nic nie wiem...

— O jakieś nieszczęście! ja dobrze czuję! a głos jej zadrżał, oczy się łzami sperliły.

Julek na którego nikt tu nie zważał spoglądał okiem zawistnym na te łzy brylantowe.

Należy nam w kilku słowach zapoznać czytelnika ze stosunkami plebanii w Lipiu a raczej jej proboszcza. — Ksiądz Paweł Skoryna pochodził z niebogatej ale zacnej rodziny a wcześnie uczuwszy powołanie do stanu duchownego, wstąpił do seminaryum, którego mury odgrodziły go od świata i od reszty bliższego rodzeństwa, z któremi się

mógł naturalnie tylko bardzo rzadko widywać. Oddalenie nie zerwało jednak miłości braterskiej dla jedynej siostry, której uroda nie odpowiadała ani wykwitnym przyzwyczajeniom, ani ubogiemu majątkowemu położeniu. Na szczęście jednak zjawił się zamożny dymisyonowany pułkownik i ujęty wdziękami zaślubił panienkę, ziszczając jej marzenia o stolicznem życiu i wielkoświatowych gustach. W szóstym jednak dziesiątku naszej epoki, pułkownik poległ, a młoda kobieta z trojgiem pięknych jak aniołek córeczek, z których jedna zaledwo kilka tygodni liczyła, pozostała na łasce losu, w obec ruiny zasekwestrowanego majątku. Pani Kościelecka—tak się bowiem nazywała teraz—odsunęła na stronę fraszki i troski między które, męża i dzieci dzieliła swe serce i z całą energią matki — wdowy, wzięła się do ratowania reszty majątku, co się jej niepowiodło i do wychowywania córek — co było daleko wdzięczniejszą pracą. — Dziewczęta rosły prześliczne i zanim resztki zamożności pochłonęły potrzeby, całą przyjemnością samotnej matki było strojenie tych żywych skarbów. Najstarsza Natalka, znacznie odbiegła wiekiem od swych siostrzyczek, to też na nią najpóźniej zlewała się

miłość matki, wyrażająca się w właściwy tej kobiecej naturze sposób. Położenie pani Kościelec kiej, która zachowała swe stosunki w świecie, doznawało ze wszech stron szczerej sympatyi i czynnej pomocy; Natalka więc umieszczoną została na jednym z tych bogatych i wykwintnych pensyonatów, gdzie rodziny zamożne ćwiczą swe córki w językach, talentach, próżności i bigoteryi. — Natalka strojna resztką matczynego mienia, wydoskonaliła się zupełnie w tych wszystkich talentach i wyrosła na prześliczną pannę.... Po skończeniu pensyi wyjechała na czas wakacyjny do jednej ze swych przyjaciołek w dom magnacki... wyjechała i już nie wróciła więcej. Stał się straszny skandal, głośny na całe towarzystwo bo Natalka dała się wykraść bratu swej przyjaciołki, zwiedziła Europę... i dopiero w lat kilka skoro ludzie trochę zapomnieli, zjawiła się na scenie teatru jako znakomita i uwielbiana artystka. Rzecz prosta, młody uwodziciel był zbyt dobrze w zasadach rodowych wychowany, aby miał popełnić mezalians tak szkodliwy, umieścił więc pupilkę w jakiejś trupie wędrownej, gdzie się jej talent sceniczny wykształcił i rozwinął.—Ludzie dla talentu nie jeden błąd gotowi zapomnieć —

a Natalka miała talent i była prześliczną kobietą. Wkrótce stała się ulubienicą publiczności, przedmiotem tajemnych westchnień wszystkich gołowąsych zwolenników teatru, zabawką tych co mieli coś więcej do stracenia niż proste uczucia. O tem wszystkiem nie wiedziała pani Kościelecka ani młodsze rodzeństwo.—Zgryziona, wstydem przejęta matka, pozbawiona wszelkiej pomocy od „towarzystwa", któremu taki „skandal" wyrządzono, umarła jednej z tych smutnych nocy, w czasie których biednym brakuje ciepła, światła, pokarmu i lekarstwa. Pozostały dwie dziewczynki piętnastoletnia Marynia i dziesięcioletnia Zosia: — Jeżeli dla najstarszej Natalii znalazło się miejsce na pierwszorzędnej pensyi, dla średniej wyjednano już tylko możność uczęszczania do jednej z podrzędnych szkółek, a najmłodsza musiała się zadawalniać domową nauką. Toż samo było i zresztą potrzeb. Mania nosiła kusy mundurek, a Zosia wyszarzane sukienki.— Z tem wszystkiem nie było to wielkiem nieszczęściem. Obdarzona zdolnościami uczennica szkółki robiła ogromne postępy—a chociaż nie dostawała żadnej nagrody, bo nagrody przeznaczone są dla uczennic zamożnych i płacących a nie dla kopciuszków

gratisowych — to jednak zbogaciła swój umysł tem wszystkiem czego tylko mogą kursa skromnego pensyonatu dostarczyć. Zosia rosła jak kwiat, doznając jedynie opieki od starszej siostry. Matka od ucieczki pierworodnej opuściła ręce, zaniedbała się, niemyślała o niczem: cios uderzył ją w serce i zabił. Wlokła życie ale nie czyniła nic aby je powstrzymać. Opatrznością jej, karmicielką, opiekunką była Mania. Mania nie znała ani błędu Natalki, ani przyczyny zgryzot matki. Nikt o tem nie mówił. Natalka wyjechała, Natalki nie było, Natalka podróżowała... aż w końcu Natalka stała się jakąś osobą mityczną, o której Marynia często myślała, ale o której nie rozmawiała z matką, widząc że to robi jej przykrość i nie odmienne łzy sprowadza.

Jeżeli Mania była dla matki opiekunką, dla siostry nianką i nauczycielką, ksiądz Paweł był im wszystkim słońcem, ale słońcem ukrytem, bo zdala użyczał życia tej nieszczęśliwej rodzinie. Poczciwiec, po otrzymaniu święceń chodził długo wikaryatami, wikaryuszem asystował przy ślubie swej siostry, wikaryuszem przy chrzcinach jej dzieci, aż wreszcie pewnego roku został proboszczem w Lipiu, które uchodziło za najmniej intrat-

ne w całej dyecezyi. — Mówiąc prawdę, ksiądz Paweł zupełnie tego nie zmiarkował, trzymając się bowiem pisma: aby lewica nie wiedziała co czyni prawica, nigdy nie obliczał swoich dochodów. — Lokował je w lekarstwach dla chorych, w zapomogach dla biednych, w książkach dla uczącej się dziatwy... ale jednego poranku odezwała się doń siostra o pomoc. Ksiądz Paweł spostrzegł że ma bliższe obowiązki i że jego dochody są bardzo a bardzo szczupłe. Starowina odmawiał sobie — boć przecie dzieciom, biednym, chorym odmówić nie mógł. — Chciał wziąść siostrę do siebie, nie chciała opuścić stolicy, tłumacząc się koniecznością kształcenia dzieci i dopiero gdy nieszczęsna zwarła oczy, ksiądz Paweł ujrzał się w możności pomyślenia o losie sierot.— Marynię posłał dalej do szkoły, a Zosię zabrał na wieś.

—,To biedactwo mleka i słońca potrzebuje ale nie książki, mruczał pod nosem.

Skoro powrócił do siebie na wieś i wyszedł przed plebanię — szeroko oczy otworzył. Przywitała go kobieta blada, we wdowiej sukni i we wdowim czepku, trzymając za rękę chłopca, który ciekawie przyglądał się księdzu.

— Jestem Joanna Suska — a to mój malec.

— Joanna Suska..? przypominał sobie ksiądz zdziwiony.

— Matka moja była Skoryna, cioteczną księdza Dobrodzieja.

— A... a... Niechże Jejmość pozwoli do izby.

Pokazało się że pani Suska zrobiła straszny mezalians, bo zaślubiła biedaka, który był rządcą w Lubelskiem.— Nie powodziło się im, bo mąż przeziębiwszy się w jakiejś podróży chorował — częściej był bez służby niż na służbie i umarł. Wdowa z synkiem została na bruku a wtedy przypomniała sobie o krewnych i o przysłowiu, że kto ma księdza w rodzie temu bieda nie dobodzie.

— Hm... rzekł ksiądz Paweł wysłuchawszy oracyi—jużci Jejmość nie wygonię z pod dachu — jakże imię malcowi?

— Juliusz.

— Pójdże tutaj bębnie—podoba ci się ta dziewczynka? zapytał ksiądz pokazując na Zosię.

Malec swemi wielkiemi, niebieskiemi oczyma popatrzył się na towarzyszkę.

— Bardzo chuda — odparł sentymentalnie.

Ksiądz się rozśmiał.

— No odgryzie się na mleku i chlebie—bądźże jej bratem bo ona będzie ci siostrą.

I pobłogosławił dzieci znakiem krzyża.

— Moja Jejmość bądźże im matką. Mam tu w oficynie dwie izby, toć was tam ulokuję.

Takim sposobem ksiądz Paweł przyszedł do rodziny... a gdy nazajutrz wrócił z kościoła, pił pierwszy raz w życiu wonną świeżo ugotowaną kawę z grzankami domowej roboty.

— Ho! pomyślał sobie — i to ma swój powab.

Ale prawdziwe słońce zaświeciło nad plebanią w Lipiu, gdy w dwa lata po ukończeniu pensyi przyjechała Marynia.... Marynia... nie, to była już panna Marya!

Czy Marynia była piękną? zwykłe to pytanie, które zadaje każdy mężczyzna słysząc o młodej kobiecie, więc zadać i my musimy wprowadzając na scenę heroinę choćby obyczajowej powieści. Tak, Marynia była bardzo piękną!.. więcej nawet, była promieniem słońca, była światłem. Należała do tych osobistości nadludzkich, których piękność polega na niezrównanej proporcyi. Najbardziej wymagający rzeźbiarz nie mógłby nic zarzucić całości, tak była skończoną i harmonijną. — Ale i profani nie mogli być na to obojętni, każdy bo-

wiem podziwiał to bogactwo, tę zgodę form. W starożytności odbierałaby cześć na rynku, dziś wszystko co ją otaczało skłaniało głowę przed tą fenomenalną doskonałością zewnętrzną. Wrażenie było tym silniejsze, iż zjawisko ukazało się nagle; dwa lata temu nikt by się był tej piękności niedomyślił — czas ją rozwinął jak artysta, co kilkoma dotknięciami pędzla lub dłuta, ostateczne wykończenie nadaje swemu dziełu. Dziewczę w swej ubożuchnej pensyonarskiej sukience, nieco świeżą podróżą opalone, z włosami związanemi na tyle głowy w koronę, przedstawiło się jak królowa odgrywająca rolę kopciuszka. Skoro się ukazała przebiegł szmer podziwu, któremu zarówno ulegał poczciwy ksiądz Paweł jak i stary Kuba jego fornal. „Cudo probostwa" zyskało głośną sławę w okolicy i zwabiło do Lipia liczną młodzież, począwszy od prowentowych pisarzy do pana hrabiego Wysokopolskiego. Ale wkrótce inteligencya wiejska uznała: iż „panna Marya" ładna niech ją... ale mądra oho..." i przestała zapuszczać się w aleje kasztanowe wiodące do kościołka w Lipiu, nie długo też i panu hrabiemu Wysokopolskiemu delikatnie dano poznać, iż częste jego odwiedziny na plebanii mało są po-

żądane i przeszkadzają dziewczętom w ich pracach. A pracy tej było niemało, gdyż na Marynię nie tylko spadł obowiązek zajęcia się nauką młodszej swej siostry, ale oraz zarządem gospodarstwa. Wkrótce bowiem po jej przybyciu do Lipia, padoł ten płaczu i mezaliansów opuściła pani Suska, a przenosząc się pod zieloną mogiłkę cmentarną poleciła sierotę syna opiece ks. Pawła. Juliusz był wtedy już w szkołach sąsiedniego gubernialnego miasta, gdzie mimo wczesnego wieku i wątłości budowy ciała szalone robił postępy wykazując całe bogactwo swej umysłowej natury. Marya podjęła zadanie z właściwym sobie taktem i darem. Dwa pokoiki panieńskie w oficynie zmieniły się w przybytek wdzięku niewieściego, w sanktuarium dokąd oko mogło z całą lubością zaglądać.

Pan hrabia Gustaw Wysokopolski, dokładny znawca niewieścich wdzięków, nie uznał za stosowne obrażać się delikatną uwagą księdza Pawła, tym więcej iż z wysokiego idąc rodu, znał co się jest winnym duchownej osobie. Wizyty uczynił rzadszemi, ale się ich nigdy nie wyrzekł, znajdując nie małą przyjemność w towarzystwie tej, którą królową wdzięków nazywał. Co wię-

cej, hrabia Gustaw był tak dobry, iż w czasie swych wycieczek do Warszawy odwiedził starszą siostrę pannę Natalię dziś sławną już artystkę; dużo jej mówił o piękności, dobroci i wdzięku Maryi, tak jak Maryi dużo mówił o powodzeniu, talencie Natalii. Młoda dziewczyna na proboszczowie czytając po gazetach, które ks. Paweł pilnie abonował, pełne entuzyazmu artykuły o swej siostrze, o jej świetności, o jej geniuszu artystycznym, pałała chęcią poznać tę mityczną i tajemnie ukochaną rodzoną. Ale ksiądz Paweł zawsze taki dobry i uczynny, na tym punkcie nie był przystępny. Staruszek się zaciął i o podróży do stolicy z nie małym żalem obu dziewcząt ani myślał. Hrabia Gustaw nie mógł być nie czułym na kilka słów zdradzających tajemne chęci Maryni i ku wielkiej jej radości, przywiózł pewnego razu z Warszawy list od siostry — list, w którym nie było nic o powodach dotychczasowego milczenia, ale dużo serdecznych rzeczy, jakie siostra kochająca kochającym siostrom powiedzieć ma i pragnie. Na list ten ks. Paweł pomruczał trochę, ale nie wypadało mu przeszkadzać wylewom uczuć tak naturalnych jak uczucia siostr. Zresztą staruszek pełen pobłażania dla

ludzkich ułomności, dawno odpuścił winę pięknej grzesznicy, a mało się znająo na życiu aktorek przypuszczał, iż droga sławy może być zarazem, drogą cnoty... Utrzymywały się tak stosunki listowne, a ku niebezpieczeństwu pięknych paluszków panny Maryi, nie była to jedyna korespondencya, którą prowadziła ze światem rozciągającym się po za deskami zabitym zakątem proboszczówki w Lipiu.

Ksiądz Paweł jakkolwiek nie miał nie przyjaciół i powszechnie był kochany, to jednak przyjacielem jego w ścisłem słowa tego znaczeniu był tylko pan Witold Saryusz. Jeżeli komu się wyda przyjaźń między starcem a młodzieńcem, między przeszłością a przyszłością, księdzem a pozytywistą zgoła nieprawdopodobną, niech raczy ją zaliczyć do siedmiu cudów świata, ale o niej nie wątpić, był to bowiem fakt niemogący uledz zaprzeczeniu. „Ojczulku" „mój synku" były to czułe epitety zmieniane między starcem i młodzieńcem, a co dziwniejsze obaj nie mieli dla siebie nic tajnego, nic zakrytego i pozytywista Witold uczestniczył nieraz w dobroczynnych wyprawach księdza, a ksiądz pochwalał nie jeden czyn pozytywisty. Rzecz prosta, iż „synek" księ-

dza proboszcza był zarazem braciszkiem jego synowic; ale i to musimy przyjąć za naturalne, iż ksiądz Paweł dowiedział się z kolei rzeczy, jako dla Witolda Marya stała się czemś więcej niż siostrą, a Witold dla Maryi czemś innem niż bratem. Jednego wieczora, młodzi ludzie powiedzieli sobie, iż skoro okoliczności zezwolą na to, należyć będą do siebie i Witold zawiadomił księdza Pawła o tej decyzyi. Kanonik, został już bowiem wtedy kanonikiem, nie znalazł w tem postanowieniu nic przeciw kanonicznego, wyraził tylko, że majątkowe interesa stoją źle i młody człowiek będzie musiał poczekać ze swemi projektami w tajemnicy, aż do rozstrzygnięcia losu Lipia; takie też było przekonanie i zakochanego pozytywisty oraz zakochanej dziewczyny. Piękne czytelniczki zapewne zganią to postępowanie czułej pary i uznają że jest on zupełnie odarte z poezyi, przesiąknięte racyonalnym, chłodem i rachubą. Jakkolwiek z przykrością nam to przychodzi, ale nie możemy temu nic a nic zaprzeczyć i wyznajemy, iż miłość obojga młodych ludzi była jakaś niezwyczajna. Znajdując się z sobą żadne ani pomyślało wdychać, niemówili też sobie tych wszystkich rzeczy, któ-

re zakochani mówić zwykli, nieuwielbiali się tem tysiącem grzeczności, które tak komiczne się wydają po przebyciu małżeńskiego rubikonu. Zachowanie się młodych ludzi było naturalne: przebywali z sobą radzi, rozprawiali o wielu rzeczach bieżących, sprzeczali się w kwestyach naukowych i literackich, na które pogląd zależał od punktu patrzenia, odbywali przechadzki ranne i wieczorne, ale zresztą wszystko było odmierzone względami towarzyskiemi, którym na wsi więcej niż w mieście ulegać potrzeba. Ciągłe podróże Witolda i jego nieobecność w Lipiu nie przerywały zresztą stosunków — dopełniała bowiem tego zadania nieprzerwana korespondencya „synka" z „ojczulkiem". Początkowo prowadził ją bardzo gorliwie ks. Paweł, ale z wiekiem począł się wyręczać swym sekretarzem — rączką p. Maryi. Wreszcie stanęło na tem, iż początek dyktował ks. Paweł, kończyła zaś korespondencyę sama nadobna synowica. Listy ze stemplami poczt zagranicznych przychodziły zawsze do ks. Pawła, ale ponieważ to grono nie miało dla siebie tajemnic, nic nie krępowało pióra dwojga kochanków.

Dzięki temu wszystkiemu zachowywała się dobrze czas jakiś tajemnica stosunków proboszczów-

ki, ale cóż ujdzie ludzkiego oka? Dziewczęta z garderoby zrobiły przypuszczenie iż „panicz z Lipia” kocha się ogniście w „złotej panience”. Przypuszczenie doszło ucha Szlomy... i rzecz prosta dobiegło do wiadomości pana komisarza Brobka.

— O ksiądz mądry! — szepnął sobie wszystkich mierzący własną skalą zacny finansista mrużąc oczy — rozumnie zagiął parol na rybę, ale nic z tego, nie będzie twoja gołąbka panią w Lipiu! nie!

Ponieważ zaś projekta rodziny Saryuszów do połączenia się z Wysokopolskimi, oraz skłonność Ernestyny, uczestniczki zabaw dziecięcych Witolda nie były komisarzowi obce, postarał się więc powiadomić hrabiankę o swem odkryciu, które też tą drogą doszło hr. Gustawa. Skrzywił się niemiłosiernie zwolennik szyku i sportu, cedząc przez zęby.

— Eh bien! wolę mieć do czynienia z mężatką niż z panną.

Ale innego przekonania była Ernestyna. Jej namiętność do młodego Saryusza tym bardziej czuła się oburzoną, iż w cierpieniu przyjęła udział wygórowana miłość własna. Ona na szczy-

cie wdzięków, wykształcenia i bogactwa została poświęconą dla jednej parafialnej gęsi, jak w swej wyobraźni malowała Marynię. Nie mogąc wybuchnąć na zewnątrz i ulżyć napięciu nerwów, Ernestyna niemniej przysięgała sobie, iż nigdy do tego małżeństwa nie dopuści.

Tak stały sprawy w szóstym roku pobytu Maryni na probostwie: piękność jej w dwudziestej trzeciej wiosnie życia nic nie straciła na sile, a zyskała na majestacie: czuć w niej było już nie dzieweczkę ale kobietę.

W daleko krótszym czasie niż mogliśmy uskutecznić powyższe opowiadanie, powrócił Juliusz do siedzących w altanie osób; zjawił się w samą porę, gdyż przedłużone milczenie, rodzaj oczekiwania poczęło już ciążyć obecnym. Czuć było w moralnej atmosferze naciągnięcie i piorun drżał w powietrzu.

Juliusz był blady, jakby drżał w febrze. Wziął ze stołu arkusz, na którym malował niezabudki i podając go Zosi, rzekł:

— Daję ci to na pamiątkę siostrzyczko!

Dziewczyna podniosła z trwogą swe duże modre oczy.

— Tak, na wieczną pamiątkę, gdyż jutro wyjeżdżam do Cannes.

— Do Cannes? — przemówili wszyscy obecni, prócz ks. Pawła, nie rozumiejąc znaczenia tej nazwy.

— Tak do Cannes we Francyi, gdzie wstępuję do seminaryum. Pan, który znasz obce kraje, nie odmówisz mi wskazówek?!

Wziął pod rękę Skalskiego, którego twarz rozpromieniła się jakąś radością i nie odwracając głowy opuścił altanę.

Na darniowem siedzeniu pozostała dziewczynka, wpatrująca się łzawemi oczyma w niezabudki malowane. Chyliła główkę coraz niżej, aż opuściła ją w dwoje białych dłoni, a przez różowe paluszki trysnął gorący strumień łez.

Ksiądz Paweł siedział, niemy, struchlały, nie wiedząc co ma począć.

VI.

Ogródek przy probostwie w Lipiu nie był zbyt obszerny, ale jego ścieszki wysadzane wisznią wiązały się w labirynt, po którym długo można błądzić niepostrzegając, iż się już tędy przechodziło przed chwilą. Przynajmniej nie mogli się

tego domyśleć Witold i Marya dawno już zagłębieni w samotną rozmowę. Temu zapewne przypisać należy, iż nie widzieli jak słońce zagasło na zachodzie, jak mrok ogarnął przestwór, jak Juliusz rzucił płaczącą Zosię i nawet nie słyszeli turkotu zgrabnego powozika, który unosił księdza przeora, chmurnie żegnanego przez księdza Pawła.

— Twój pupil jest złotem dziecięciem — mówił poważnie ojciec Anzelm... kościół będzie miał z niego pociechę... Gdym mu odsłonił jego przyszłość, gdym mu w krótkości wytknął cel pracy w zbawieniu społecznem, ta dusza pełna siły poddała się woli Boga. Będzie to dla nas niemała księże Pawle zasługa, pomnożyć zastęp wojującego kościoła takim rycerzem bojownikiem.

— Zadaniem księdza pokój nieść ludziom dobrej woli — smutnie zauważył ks. Paweł.

— Ale też zadaniem kapłana jest walczyć za prawdę, którą nam Chrystus ogłosił. Czyż Augustyn, Tomasz, Bonawentura nie są wzorami kościoła tak jak Franciszek Ksawery lub Wincenty à Paulo? Ja mój kanoniku korzę się przed Panem, że mi dozwala swe szeregi jednym ryce-

rzem bożym pomnożyć. Juliusz podał mi rękę, za dwa tygodnie wyjeżdża do Francyi. Wszystko znajdzie przygotowane, listy i pieniądze. O tak modlić nam się za pomyślność tych zamiarów trzeba, modlić.

— Ja modlić się będę gorąco aby go Bóg oświecił i intencyami zgodnemi z jego naturą natchnął.

— Amen! — rzekł przeor siadająo do powozu, czekam cię księże kanoniku za dwa tygodnie. Konie ruszyły, a ks. Paweł przechodząc koło pokoiku Juliusza, mieszczącego się obok jego sypialnej izby, ujrzał młodzieńca jak ze Skalskim schyleni nad mapą poszukiwali dróg prowadzących ku pięknej Francyi.

— Miałżeby to być głos powołania — szepnął stary proboszoz, przypatrując się bladej twarzy młodzieńca... nie, chybabym nie znał ludzi. Ta nerwowa natura żądna jest czynu, poświęcenia, ofiary, ale co będzie gdy mu przyjdzie zmierzyć się z duchem naszej kasty? Najgorszem z najgorszych jest narzędzie nieużyteczne. Panie oświeć go za nim się ujrzy niczem w Twojej dłoni.

Ksiądz Paweł wszedł do swej izdebki zkąd widok padał na ogródek. Księżyc wychylał się

za gór a w jego czerwonawym jeszcze blasku wszystko majaczało niepewne. Światło to przez szybki starej plebanii dostawało się do wnętrza i opromieniało figurę Chrystusa na Krzyżu, zawieszoną na przeciwległej ścianie. Starzec ukląkł i począł się modlić jak to był zwykł robić codziennie. W modlitewnej... ekstazie spowiadał się jak dziecię ze swych wątpień, obaw i trosk... I on był niegdyś młodzieńcem i w sercu jego również wrzały porywy do życia, do czynu, do ruchu ale to wzburzone morze opadało pod wpływem prostego pacierza, huragan milknął skoro sygnaturka sąsiedniego kościołka Ave Maria ogłosiła. On był stworzony na księdza, życie w seminaryum było mu miłe, te długie nauki pełne zaciekań się w bóstwie zajmowały go, nieskończone formy, obrządki zabawiały. On dziś wie, że religia pańska nie na tem zależy, że jest ona zakonem czynu, spełnieniem miłości, ale czyż ci co nie czują powołania dojdą tam gdzie światło bije i nie uschną raczej w prostej formie? a co gorzej, czy nie znalazłszy ducha w formie i nie mogąc jej własnym duchem napełnić, nie będą raczej bluźnić Panu i urągać zakonowi miłości i miłosierdzia?

Tymczasem księżyc wędrował w ciszy po niebie, blask jego stawał się coraz świetniejszy i coraz jaśniej oblewał starą białą schyloną kornie głowę proboszcza...

Witold z Maryą niespostrzegali nic z tych magicznych blasków natury. Rozmowa, którą wiedli była im udręczeniem, któreby jednak chcieli przeciągnąć w nieskończoność. Tak, była to rozmowa kochanków stanowiąca o ich przyszłości.

— Posłuchaj Maryo! — mówił Witold drżącym mimo wszelkich starań o powstrzymanie wzruszenia głosem — ja muszę ci powiedzieć, co mi do głębi rozdziera duszę... My powinniśmy się rozstać, ale tym razem rozstać na zawsze...

— Na zawsze... nie rozumiem cię — szepnęła blednąc dziewczyna.

— Tak na zawsze. Bo tylko słuchaj... Jeżelim się mógł dotąd łudzić w wyborze dla siebie stanowiska, to dalej żyć złudzeniem byłoby szaleństwem.

— Czyż interesa Lipia zostały już zdecydowane?

— Tak, wymogłem na Stefanie, iż rzucił nieuczciwe plany Brobka. Lipie zostanie w sposób prawny sprzedane, przy czem jak to rzecz prze-

widziana nie okroi się ani mnie, ani bratu — nic. Jesteśmy zrujnowani.

— Czy tylko ten powód ma nas rozłączyć? Przecież nigdy nie oddawałeś się do zbytku nadziejom utrzymania Lipia. Pojmuję i dzielę twą boleść na myśl rozstania się z rodzinną wioską, ale przecież po za nią jest dość miejsca dla ciebie do uczciwej pracy.

— Niewątpliwie i dla tego też jutro stąd wyjeżdżam ażeby poszukać stosownego miejsca. Lecz rzucając się w ten wir, w ten chaos interesów z którego nie wiem jak i czy wypłynę — uważam za najświętszy obowiązek, zwrócić ci słowo w innych wyrzeczone warunkach.

— Witoldzie, nie mów tak bo trwonisz słowa...

— Ja Maryo?

— Ty, bo gdym powiedziała, iż do ciebie chcę należeć, czyż mówiłam to dla tego żeś był bogatym dziedzicem Lipia.

— Nigdy nie byłem bogatym, mogłem mieć zaledwo warsztat do pracy.

— I dziś masz do tego narzędzia, a czy je użyjesz na własnym, czy przy cudzym warsztacie, zawsze zarobisz na życie. Ale twoje skrupuły

obudzają moje. Lękasz się czy własną pracą zdołasz zarobić na utrzymanie rodziny.

— Mam brata, który wkrótce będzie potrzebował odemnie pomocy...

— Myślałam o tem, i dla tego pragnęłabym wziąść udział w tej pracy, którąby do zbudowania naszego szczęścia posłużyła.

— Ty, Maryo, nic a nic cię nie rozumiem.

— Posłuchaj, w romansach, nad któremi nieraześmy się śmieli, strapiony kochanek rycerz jedzie w świat szukać szczęścia, a kochanka zostaje w domu łzy ronić. Mnie się zdaje że czasy te minęły. Po cóż mam pierwsza czekać i patrzeć bezczynnie jak ty będziesz krwawił ręce w pracy dla wywalczenia losu, po co gdy we mnie grają siły żywe mam tu gnuśnieć, czyż nie lepiej abym i ja jeśli nie drugą połowę, to choć cząstkę jakąś, własną pracą przyniosła do wspólnego skarbu który ma nam dać warunki wspólnego pożycia?

— Nie zaliczam tego do niepodobieństw, ale nie widzę konieczności, potrzeby.

— Jesteś biednym i ja ubogą jestem. Czyż dla tego mamy zwalniać się z obowiązków i przyrzeczeń sercem potwierdzonych? Nie lepiej że

aby każde z nas na właściwem polu pracy starało się zyskać środki których nam zbywa?

— Praca kobieca u nas nie ma warunków, a ma wszystkie niebezpieczeństwa.

— Tak kto ich chce szukać lub na nie zważać. Ale kto w pracy pragnie znaleść te cele, jakie ona dać może, ten się niezawodnie nie zawiedzie. Dawno już o tem myślałam.

— Ty Maryo?...

— No tak, skorom doprowadziła wykształcenie Zosi do tego kresu, do którego natura jej umysłu i charakteru dozwalają, uczułam się tu dość samotną i bezczynną. Próbowałam wiejskie dzieci uczyć albo zajmować się ogródkiem— ale mnie w tem wujcio, albo Zosia lepiej wyręczyli. Trawi mię gorączka czynu a brakuje pola. Twoje skrupuły, tylko mię zachęcają do wykonania moich projektów. Nie jestem tyle idealną, abym chciała torować nowe drogi lub grać rolę emancypatki — nie! Ja jestem pracowniczka, która własnemi rękoma chce dopomódz sobie i towarzyszowi do zebrania zasobów aby mogła być zawiązaną rodzina. Jesteśmy młodzi — ja mam lat dwadzieścia trzy, ty dwadzieścia pięć... Przyszłość przed nami, ale nie możemy stać bezczynni aż godzina uderzy...

Witold zagłębiał się pełen zadumy w siebie.

— Czyś zmierzyła całą trudność, niebezpieczeństwo twej myśli. Ja jestem surowym pracownikiem i myśli twoje nie rażą mię. Ale nigdy nie zastanawiałem się nad tem, gdybyś „ty“ znalazła się w położeniu pracującej kobiety.

— O ja już to wszystko obmyśliłam! zawołała Marya z żywością — ale to moja tajemnica i jeśli wierzysz w me serce, nie badaj jej, proszę ciebie.

— Czy nie ufasz mi? — udzieliłbym ci dobrych rad gdybyś otworzyła się z swemi projektami. Bądź co bądź Maryo, mimo trzeźwości poglądów, mało znasz świata; w ogóle życie da się tylko doświadczeniem ocenić.

— To też pozwól abym i ja potrochu była tym badaczem; czy myślisz że zasób jaki uzbieram w praktyce życia, nie przyda mi się w przyszłości?

— Słuchaj Maryo! — Witold wziął dziewczę za obie ręce i patrzał jej w oczy — tak cię kocham i tak ci wierzę we wszystkiem, iż nigdy, nigdy zwątpnienie do duszy mej się nie wkradnie...

— Dziękuję ci, dziękuję, ja będę zawsze tego godna. Mój plan jest bardzo prosty i nie wy-

stawia mię zresztą na żadne walki z życiem. Ale ponieważ nie wiem czy się uda, a w razie niepowodzenia cierpiałaby moja miłość własna, więc się nad nim nie rozszerzam — oto cała tajemnica. Potrzebuję jednak dla wykonania mego zamiaru pojechać do Warszawy, a ty wiesz jak jest temu przeciwny wujcio. Ach, ty co masz taką nad nim władzę, może byś go o tem przekonał!

— Gdybyś bliżej określiła swe cele, możeby mi to łatwiej przyszło.

— Powiedz wujciowi, niech mnie wyśle do siostry, tylem razy oto prosiła.

Witold pokręcił głową.

— Stanowczo tego nie zechce.

— Ależ ja muszę pojechać do Warszawy!

— Będę probował przekonać kanonika o tem, ale nie wielką mam nadzieję aby to mi się udało.

— Probój, probój! Powiedz mu, że nie jestem szaloną, ale że tu bezczynną mi niepodobna zostać, gdy ty będziesz pracować.

— A gdy wymowa moja na nic się nie przyda?

— Powiedz mu, że jestem pełnoletnią.

W oczach Maryni błysnęła ta energia niepozwalająca wątpić o stałości jej postanowień.

— Kocham cię i wierzę! — zrobię co będę mógł.

Dziewczyna oddała uścisk dłoni swemu narzeczonemu i różowe usteczka jej szepnęły: .

— Kocham cię i będę tylko twoją.

Ksiądz Paweł powstawszy z modlitwy zbliżył się do otwartego okna, przez które wlewało się balsamiczne powietrze rzeźwe wieczornym chłodem. Cienie drzew rysowały się ostro w przedłużonych kształtach na kwaterach proboszczowskiego ogródka, a jasne pasy światła drżały jakąś tajemnicą. Spostrzegł właśnie dwoje młodych ludzi przechodzących po ścieżce.

— Dzieci, czy nie jest to już późno? — rzekł jednym z tych ogólników od których najczęściej rozpoczyna się rozmowa.

— Mój ojczulku — prosił się Witold — chwilkę, chciałbym z tobą jeszcze pomówić...

Młody człowiek rozłączył się ze swą towarzyszką. Kształtna postać dziewicy to się zanurzała w cieniu, to ostro rysowała na oświetlonych księżycem placach. Dążyła ku dworkowi, gdzie ją płacząca oczekiwała Zosia. Kilka słów wystarczyło Maryi do zrozumienia powodu tych łez. Każdą inną razą byłaby odczuła nieco dziecięcą ale szczerą boleść siostry, dziś serce jej własne zbyt było uciśnione, aby mogła rozumieć cudze

troski. Z jakąś pełną egoizmu niecierpliwością starała się Zosi wytłomaczyć, iż skoro starsi ułożyli aby Juliusz został księdzem, musiało to być dobrze i rozumnie... Zresztą i on sam do tego pragnął.

— Ah nie, nie! zaprzeczyła płacząc cicho dziewczyna, wujcio nie chce, a jestem pewna, że i Juliusz tego nie chce... Tak, nieraześmy rozmawiali o tem jaki stan obierze, zawsze marzył że zostanie doktorem, bo to pozwala nieść ulgę cierpiącym. Dopiero w ostatnim roku, gdy się poznał z księdzem Anzelmem, wszystko się zmieniło. Zostać lekarzem ciała było mu mało — mówił, trzeba leczyć duszę...

— Zresztą cóż ciebie to tak dalece dotyka.

— Tak, ja nie chcę żeby Juliusz został księdzem.

— Niechcesz, więc czemuś mu tego nie powiedziała?

— O ja nie jestem ani taka odważna, ani taka silna jak ty. Ja wprzódy umrę ale ani jemu, ani wujciowi słówkiem nie powiem.

— No to ja powiem za ciebie — rzekła Marya, która domyśliwszy się nareszcie co się działo w młodem serduszku, użaliła się łez dziewczęcia.

— Nie, nie mów, znam Juliusza lepiej niż ty go znasz. Postanowił—to pewno się w tej chwili niecofnie. Zresztą czyżbym uczyniła dobrze, stając na drodze jego zamiarom. Ja sama nie wiem, płakać mogę ale nic więcej...

— Jeśli tak, niebardzo go kochasz jeszcze — lepiej, zapomnisz... przebolejesz.

— O nie, nie!

— Ja na twojem miejscu nie traciłabym czasu na próżnych łzach... lepiej zapobiedz złemu...

— Ty jesteś taka silna, taka rozumna! Ale ja słaba. Dał mi te malowane niezabudki i nie zapomnę, nie zapomnę do grobu.

— Przecież nie wszystko skończone, seminaryum nie klasztor, nie śluby... Jeżeli Juliusz nie znajdzie tam ziszczenia swoich zamiarów, wróci do życia. Tymczasem ty odważnie czekaj... masz czas przed sobą...

— O tak! ja będę czekać śmierci — szepnęła Zosia pochylając niżej główkę.

Marynia spoglądała w stronę plebanii. Okna pokoiku księdza Pawła gorzały światłem, współzawodnicząc z oświetleniem komnatki Juliusza. Na jasnem tle tych okien migały cienie — widać rozprawiający żywo chodzili i gestykulowali; na

szybach drugiego pokoju rysował się nieruchomo profil przyszłego seminarzysty, schylony nad stołem, a na przeciwko tkwił jakiś duży punkt ciemny. Była to głowa Julka.

— Więc powiadasz pan będę przejeżdżał przez Paryż? — zapytał młodzieniec.

— Naturalnie, na Paryż idzie droga.

— A jednak wolałbym go ominąć...

— Dla czego, czy się lękasz abyś nie porzucił swego zamiaru w Paryżu?

— Ja się niczego nie lękam, mój zamiar płynie z pobudek niewzruszonych.

— I nic nie zostawiasz za sobą, czegobyś w życiu żałował?

— A któż o tem mówi! Lecz czyż ofiara byłaby inaczej ofiarą. Zawsze myślałem żem stworzony do życia. Sądziłem że zostanę lekarzem, ale człowiek wyższego rozumu wskazał mi właściwszy cel.

— Czy jesteś tylko pewny że ci wskazano go dobrze?

Juliusz się zamyślił.

— Tak, bo chcąc zrobić najwięcej dobrego, trzeba mieć wszechstronne środki. Suknia kapła-

na otwiera mi drogi wszędzie, zarówno do serc ludu jak i do tych co stoją najwyżej.

— Ale ciebie zamknie i skrępuje. Jesteś tak młody i tak mało znasz świata, iż ani przeczuwasz co ci grozić może w przyszłości. Pokonasz wszystko, ale czy pokonasz siebie. Ksiądz musi się wyrzec życia, miłości, rodziny...

— Miłości nie wyrzeknę się nigdy; tylko że zamiast jednostki ukocham ogół i oto mi właśnie idzie!

— A któż ci ten ogół przeszkadza kochać w tużurku — sutanna ma cię tą miłością natchnąć?

— Nie, ale mi pozwoli czynnie miłość względem ogółu wykonywać. Gdybym został lekarzem, fabrykantem lub rolnikiem mógłbym się poświęcać tylko cząstce i to najbliższej, gdy zaś zostanę księdzem, będę mógł pociągnąć za sobą tłumy, ogół. Święte sprawy potrzebują poświęcanych dłoni. Zawiele zabiegów koło drobnych spraw, a zamało szerokich zamiarów. Każdy gotów robić dobrze obok innych zajęć, *nikt* a przynajmniej mało kto—oddaje się na usługi dobra *całym*. Nie zrywam ze światem — moi bliscy będą mi zawsze drodzy.

— Więc idziesz za głosem kanonika?

— Nie, kanonik tylko przyzwala ale nie namawia, owszem jest przeciwny memu wstąpieniu do seminaryum.

— A siostry? — Julek patrzał pilnie w twarz młodzieńca.

— Żal mi będzie odjeżdżać na tak długo...

Nie kocha jej pomyślał sobie Julek, a serce mu jakąś nadzieją zadrżało, ale chciał się jeszcze upewnić.

— Żal ci będzie najbardziej Zosi... gdy wrócisz może już pójdzie za mąż.

Młodzieńcza twarz przyszłego księdza zbladła. Roztworzył szeroko oczy nie wiedząc co powiedzieć.

A więc oboje się kochają, znów pomyślał Skalski lekko wzdychając, tylko że ona już o tem wie, a on się o tem dowie dopiero później lub może zapóźno.

— E! zakończył Skalski, zresztą seminaryum nie śluby... Ale dla czego nie chcesz być w Paryżu? Miasto wcale wesołe...

— Bo chciałbym to ludzkie piekło poznać zbrojny, tak jak do areny rzymskiej tylko namaszczony oliwą wchodził zapaśnik...

— Mój drogi — rzekł Julek w czoło całując swego towarzysza, jeżeli kiedy to teraz jesteś owym zbrojnym i namaszczonym gladiatorem i jeśli czego ci można życzyć, to tylko abyś zawsze takim, jakim jesteś dziś, pozostał.

Jakaś ręka zapukała w okno. Skalski spojrzał na zegarek.

— Oho! tak już późno! Witold sztuka. Bądź zdrów, zobaczemy się jeszcze przed twoim wyjazdem.

U furty czekał Witold, który się już rozstał z księdzem Pawłem. Gdy księdzu Saryusz odkrył zamiary Maryi, staruszek się zerwał poruszony.

— Nie mów mi o tem, nie mów! — wołał żywo biegając po izdebce, co oni wszyscy poszaleli? Juliusz się musi poświęcać i jechać — Marynia czuje że tu jej zaciasno, że potrzebuje czynu, ruchu, pracy. Ja was wszystkich nierozumiem—ale powiedzcie com ja wam zawinił, że mię tak dręczycie? Kocham was, cieszę się wami, a wy tak łatwo chcecie starca opuścić. Leć do kosza kiedyś grzyb, zostań sam kiedyś stary. A myślałem, że mi wprzód oczy zamkniecie. No, zresztą chłopcy, ha to ptastwo które zawsze odlata, ale ta dziewczyna czego ona chce?!

Witold nigdy jeszcze nie widział staruszka tak wzruszonym.

— Nie pozwalam, stanowczo nie pozwalam — mówił dalej ksiądz Paweł, niech się hartuje w pracy i łamie w trudach mężczyzna — a kobieta niech pilnuje domowego ogniska. Dosyć to duży obręb, dosyć, niech tylko w tym zakresie spełni obowiązek sumiennie.

Witold wyłożył księdzu teoryę o pracy kobiecej, powiedział mu że i na tem polu obudził się popęd, któremu nie łatwo kłaść tamę, albo krórremu nawet nie trzeba kłaść tamy, ale go raczej kierować użytecznie, aby nie zboczył na manowce.

— Wszystko to bardzo pięknie i ja myślę że kobieta powinna pracować, a nawet należy jej otworzyć nowe pola działalności. Ale niechże tam idą te, co rzeczywiście potrzebują zarobku... Marynia go nie potrzebuje.

— Ale go potrzebować, mój ojczulku, może — zauważył Witold — nie jesteś wieczny, a wiem że groszy nie zostawisz.

— I ty także przeciwko mnie, obruszył się ks. Paweł.

— I ja przeciwko tobie mój ojczulku, bo sprawy złej bronisz. Wyjeżdżając z Lipia zwróciłem Maryi słowo, bo mi tak sumienie nakazywało. — Nie wiem kiedy i gdzie urządzę gniazdo. Marya chce myśleć o sobie... a lepiej myśleć wcześniej, niż później nieprzygotowaną wystąpić do walki z życiem...

Ksiądz nie wiedział co ma na to odpowiedzieć.

— Nigdy, nigdy na to nie pozwolę — rzekł krótko.

— Jest pełnoletnia.

— Co mi tam! nie pozwolę jej jechać do Warszawy, do siostry — słyszysz, powiedz jej że nie pozwolę.

Ksiądz Paweł drżał jak w febrze i Witold poznał, iż byłoby daremnem przekonywać dalej staruszka. Żegnać się z nim zaczął.

— Tobie daję błogosławieństwo — ty jedź, jedź mężny i wracaj szczęśliwy, a prędko. Do takich jak ty świat należy — zwyciężysz bo idziesz z prawdą, to znaczy jesteś prawy. Jedź, ja ci Marynię zachowam.

Ksiądz wziął głowę młodzieńca i uściskał ją w obu rękach. Gdy Witold opuścił izdebkę staruszka, czuł się dziwnie pokrzepionym i spokoj-

nym. Cały prąd jego wyobrażeń zmuszał go do przyzwolenia na zamiary Maryi; w umyśle swym napróżno szukał argumentów któreby mógł jej przeciwstawić. Biedna sierota nie mogąca spodziewać się majątku, winna wywalczyć sobie stanowisko niezależne, a przynajmniej uzdolnić się do jego zdobycia. To pewnik. Uczucie jednak przeczyło. Lękał się o swą ukochaną, przestraszały go te ciężkie zawody, te wysiłki a niekiedy upadki, na które jest skazaną kobieta szukająca w pracy chleba... Sercu Maryi wierzył... ale wolał że ukochana przez niego dziewica będzie miała sobie oszczędzonem dotknięcie się choćby brzegu tej gorzkiej czary, jaką stanowi życie powszednie.

Saryusz połączywszy się z Julkiem wracał ku dworowi w Lipiu, z lubością przypatrywał się plebanii owiniętej dzikim winem, pogrążonej w krzakach bzu i drzew wiszniowych. Kryła się tam perła droższa dlań nad perły uryańskie. Na progu mieszkania natknął się na Stefana. Starszy pan Saryusz był jakoś strojny i świeży. Frak uwydatniał jego zgrabną figurę, starannie zawiązany krawat, białe rękawiczki uzupełniały wizytową toaletę. Spostrzegłszy Witolda zakłopo-

tał się jak student złapany na czytaniu pięknego romansu.

— Bo widzisz — rzekł witając się — byłem z wizytą.

— Nareszcie, chwała niebu!

— Ale się niedomyślasz gdziem był?...

— Zapewne, sądząc po twoim stroju nie przypuszczam abyś się udawał na połów jakiej starożytności.

— Wcale nie — istotnie nie — nie jeździłem za poszukiwaniem starożytności.

— No tak, szukałeś więc czegoś nowszego? zaśmiał się Witold.

— A no, bo widzisz, przecież ty sam mnie namawiałeś... a zresztą ten Brobek również...

— Więc byłeś?

— U Wysokopolskich. Przyjemni ludzie, wykształceni i znać w nich materyał starożytny.

— Byłeś u Wysokopolskich? — Witold przyjrzał się uważniej bratu — nie z własnego popędu ale z polecenia pana komisarza...

— Ależ...

— Ależ ja nie mam nic przeciwko twoim rozrywkom, owszem cieszę się że nareszcie wracasz

do świata i sądzę że twoje wizyty nie skończą się...

— Na jednej — naturalnie. Ernestyna jest nader zajmującą a była bardzo grzeczną. Rozmawiałem z nią długo o znaczeniu historyi, nader rozumna dziewczyna.

— Tak, i spodziewam się że twoje wizyty nie skończą się na Wysokopolskich, ale odwiedzisz i innych sąsiadów, ot tak choćby dla równowagi. Dobrzy ludzie, opowiem ci co dla nas chcą zrobić...

— Dobrze, ale zapewne pomówimy o tem jutro.

— Naturalnie — dziś nie chcę ci przerywać przyjemnych marzeń, wyniesionych z pierwszej wizyty.

Młodzi ludzie się rozśmieli i pożegnali uściskiem dłoni. Witold zostawszy sam pomyślał.

— Ta kobieta nie jest dla niego. W jej sercu wrą wszystkie namiętności, dziś bardziej wzburzone niż kiedy. Jemu potrzeba anioła stróża a nie anioła kusiciela. Zresztą jeżeli zajmuje się tem Brobek, trzeba mieć baczne oko, bo musi się tu kryć jakaś zasadzka. Szkoda by mi było Stefana, a była by to kwestya trudniejsza do rozwiązania, niż wywikłanie spraw Lipia.

VIII.

Pałac w Słomianach zasługiwał na ten tytuł. Była to bardzo obszerna, ciężka budowla z zegarową wieżyczką pośrodku i dwoma skrzydłami, gdzie mieściły się pokoje gościnne, kancelarye i mieszkania rodziny dziedziców Słomian. Styl tej budowy rococo zdradzał początek ośmnastego wieku i naśladownictwo gmachów drezdeńskich i bryłowskich w Warszawie pałaców. Wewnątrz pełno salonów dobrze oświetlonych, z gipsowanemi sufitami, z kominkami obliczonemi na pomieszczenie zegarów i tego tysiąca porcelanowych i brązowych fraszek, w jakich się tak kochał wiek zeszły. Sufity i kominki przetrwały do dzisiaj, ale obicia i cała zastawa niezawodnie kilkakrotniej ulegały zmianie, czego ślady były widoczne w pomieszanym stylu mebli i w naleciałościach ozdób niepasujących charakterem do pierwotnego ustrojenia. Obok ciężkiego w cheban oprawnego zegara gdańskiej roboty, stały pstre wazony z lichego nowego fajansu, zdobne w liche sztuczne kwiaty i nakryte tandetnemi kloszami, jak w wystawie sklepowej prowincyonal-

nego cukiernika. Obok starych lakierowanych na biało z pozłotą wytartą kanapek, spotkać można było wygodne fotele i szeslongi nowożytnego fasonu, odpowiednie do wygodnych obyczajów naszego czasu. Widocznie gospodarowała tu nie tylko ręka czasu, ale i ręka której znawstwo i zamiłowanie pamiątek były obcem. Rzeczywiście, dwa pokolenia które przeszły przez te salony, odznaczały się barbarzyńskiem ograniczeniem i lekceważeniem wszystkiego co pozostało po zeszłych czasach w puściznie. Wnuk podkanclerzego, który ten pałac stawiał i meblował, ożenił się z jedną z księżniczek francuzkich, posiadających wszystko co księżniczki posiadać zwykły... prócz majątku. Młoda pani narazie zmieniła w pałacu co zmienić się dało w krótkim czasie—nim wyjechała z mężem za granicę, gdzie dostojnie powiła potomka, a w lat kilka świat i jego doczesności pożegnała na zawsze. Syn chował się w Niemczech między arystokratyczną emigracyą francuzką, i ożenił się z jakąś baronówną niemiecką, osobą bardzo zacną, ale która niecierpiała Polski i polaków. Po śmierci jednak męża osiadła w Słomianach i wychowywała syna na agronoma. Niemka zupełnie trzeźwo patrzyła na położenie majątko-

we swego rodu i widziała że dwa pokolenia nierządem, podrujnowały olbrzymią fortunę. Syn agronom miał zrestaurować głębokie szczerby w obszernych włościach i nadać dawny lustr stanowisku i bogactwu Wysokopolskich. — Na nieszczęście nabył on na akademiach wiele nauki ale mało rozumu, a do reszty zatarł poczucie swojskości i poszanowania ku temu co krajowe i własne. — Stawiał wielkie gorzelnie i obory dla owiec, ale do tego użył cegły z dobrze jeszcze zakonserwowanych murów starego zamku, który dumnie sterczał na wierzchołku góry; stary lipnik kazał wyciąć, żeby w tem najniestosowniejszem miejscu założyć chmielarnię. Nie lepiej działo się w pałacu; graty i rupiecie niemieckie zastąpiły wiele cennych przedmiotów dawniejszej epoki, które rozdarowano lub zniszczono. — Doskonałą w tym względzie spólniczkę hrabia Remigi znalazł w swej małżonce... Ale otóż hrabina przed nami: na niebieskiej aksamitnej otomance, spoczywa na pół leżąc na pół siedząc dama lat pięćdziesięciu pięciu lub sześćdziesięciu. Wiek to jest jednakowoż wzięty z notowań metrycznych, powierzchowność zaś wskazuje daleko młodsze lata. Przynajmniej wniosek ten usprawiedliwia cała

toaleta hrabiny. Bogata atłasowa, wiszniowego koloru suknia, garnirowana u wycięcia prawdziwemi brukselskiemi koronkami, dekoltuje dobrze już chude i nie zbyt białe ramiona; z pod sukni wychyla się para aksamitnych pantofelków opinających niemałą nogę; głowa odkryta, zaczesana w długie spuszczające się loki, na rękach pierścienie i bransolety, a różnych świecideł nie brak we włosach, uszach, u pasa, koło którego wije się łańcuch od zegarka.—Twarz hrabiny niegdyś pewno ładna, dziś marchwianą barwą napróżno walczy z bielidłem i innemi kosmetykami nagromadzonemi w wielkiej ilości, celem zakrycia szczerbów, jakie nielitościwy czas zrządza we wdziękach pięknej kobiety. — Postać drobna, miniaturowa, co tym więcej przyczynia się do przedstawienia jej młodszą niż była w istocie. — Spieszymy dodać, iż hrabina od lat dwudziestu była już wdową, gospodarny bowiem hrabia Remigi, przeziębiwszy się na jakiejś inspekcyi folwarku— umarł zostawiając pierworodnego Remi, córkę Ernestynę i synka najmłodszego Gucia. — Remi zmarł również w młodym wieku ku niemałemu smutkowi hrabiny i wiernego sługi Remigiusza, który z całej tej trójcy remigialnej sam jeden pozostał—

niańcząc dwoje młodszych hrabiątek. Remigiusz był im właściwie matką i tatką, hrabina bowiem chociaż peświęciła się dla dzieci i nie wyszła powtórnie za mąż, ale nie myślała usuwać się od świata, bez zakosztowania jego upojeń, chociażby od brzegu czary. — Losowi była winna swe stanowisko. Córka wcale ubogiego szlachcica, marzeniami swemi sięgała po rękę jakiego najzwyklejszego hreczkosieja na jednej, zapewne obdłużonej wiosce. — Tymczasem hrabia Remigi między postawieniem gorzelni a owczarni znalazł chwilę czasu zakochać się w niej i ożenić, ku wielkiemu oburzeniu matki baronowej niemieckiej i zgorszeniu całej arystokracyi okolicznej. — Panna im mniej oczekiwała podobnego losu... i podobnej pozycyi, tym więcej się oną przejęła i tym ją opaczniej pojęła. — Zdawało się jej, iż aby dorość siostrom swoim po tytule — hrabinom, trzeba wszelkim wybrykom pańskości dogadzać. — Młodej hrabinie nie było nic nieprzystępnem, nic za kosztownem, a ponieważ przeszłe szlacheckie wychowanie nie zaopatrzyło ani jej pojęć, ani gustów, ani upodobań w to coby miało z jakąkolwiek wyższością, estetycznym smakiem wspólnego, więc też pieniądze swoje lokowała we wszyst-

kiem co błyszczało szychową świetnością, co krzyczało barwą, co odskakiwało ekscentrycznością.— Staremu pałacowi przybywało mnóstwo papuzich cacek, mnóstwo niestosownych do jego stylu gracików; pani hrabina stroiła się bogato choć mało gustownie, rok rocznie odbywała podróże do wód i zagranicę, gdy tymczasem pozbawione męzkiej ręki gospodarstwo, dość jeszcze rozległej fortuny, upadało coraz bardziej. — Nikły dochody, tajały lasy, plony zawsze sprzedawano przedwcześnie i pani hrabina po trzydziestu latach takiej gospodarki, żyła kredytem niegdyś wielkiego majątku. Wierzyciele może trochę z wyrachowania, a pewno najwięcej z przyzwyczajenia, szanowali tę nędzę błyszczącą i z pewnym respektem oczekiwali aż stara hrabina sama się wyniesie z pałacu słomiańskiego do familijnych grobów u słomiańskich kapucynów. — Hrabina mimo tkliwości kobiecego serca, więcej uczuła niewygodę swego wdowiego położenia fizycznie, materyalnie niż moralnie. — Bolało to ją, iż nie mogła odbywać swych ekskursyj zagranicznych, iż nie mogła dogadzać swym fantazyom, że musiała siedzieć w swym starym pałacu pośród ciszy i zapomnienia;— ale mało zmieniła w gruncie swe przyzwy-

czajenia i nie wiele ją to obchodziło, jaki los czeka dwoje wychowujących się zdala od jej oka dzieci. — Egoistyczna jej natura zdolną była myśleć i troskać się tylko o siebie. Popełniono by niesprawiedliwość sądząc, iż hrabina nie kocha dzieci, że im dobrze nie życzyła, ale czuła się tylko niezdolną do poświęcenia czegośkolwiek ze swych upodobań lub przyzwyczajeń dla zapewnienia im przyszłości. — I dziś hrabina gotową by była w dziecinnem zaślepieniu podpisać cyrograf nie tylko na majątek ale na własną duszę, aby dostać pieniędzy tak potrzebnych na wyjazd zagranicę... ale niestety, belzebub przestał odwiedzać ziemskie padoły, a ziemscy belzebubi byli nieczuli na umizgi, chociażby tak strojnej damy jak hrabina Wysokopolska ze Słomian.

Siedząc a raczej leżąc na otomance, strojna jak zwykle i wykrygowana jak zawsze, hrabina nie oczekiwała ani kogokolwiek z gości, ani nawet z domowników. Ubierała się więcej dla siebie, nie tracąc ani na jedno makowe ziarnko z dawnej starowności, która się stała u niej drugą naturą. — Zresztą całe ranki przepędzając przed tualetą, ażeby wystrojona drugą połowę dnia przepędzić na otomance—tym sposobem produkcyjnie za-

bijała czas, którego zużytkowanie byłoby dla niej w inny sposób niepodobnem. — Była to sztuka dla sztuki, artyzm zupełnie niedbający o poklask, w tym bowiem stroju swoim nie miała i nie chciała się komukolwiek sprezentować, jedynemi bowiem jej towarzyszami byli jak zwykle córka i syn, nikt zaś mniej nie był stworzony do admirowania matki, jak to potomstwo hrabiego Remigiego i hrabiny Weroniki.

Ernestyna, hrabianka Wysokopolska, atawizmem, częściej i ostrzej przejawiającym się w rodzinach zamkniętych kastowością, nie była podobną wcale ani do matki, ani do babki niemieckiej baronowej — ale do prababki francuzkiej księżnej — a podobną nie tylko fizycznie ale i moralnie. — Pod pozorami dobrego tonu, umiarkowania i rozsądku, jakiś nadmiar gwałtownych pociągów, namiętności łączył się z oschłością serca na to wszystko, co nie dogadzało jej kapryśnym upodobaniom. — Ernestyna była dziewicą doskonałych form, wyniosłej postawy i skończonej piękności. Wdzięki jej może nieco wybujałe, może zapowiadały szybkie przekwitnięcie, ale tem mocniejsze czyniła wrażenie pobudzające, jak owoc który dojrzałością drażni podniebienie smakosza. — Er-

nestyna wiedziała o tem i wcale nie unikała niecić sobą gdzie tylko można było, te uczucia zarówno pozbawione czystości jak poezyi. Całe jej otoczenie zacząwszy od dworskich pisarzy prowentowych, a skończywszy na arystokratycznych kuzynach, ulegało temu wpływowi, a dość było przypatrzeć się kierunkowi i gatunkowi spojrzeń, aby odgadnąć jakie żądze ożywiają te serca. Ernestyna wśród tych płomieni, zdawała się zupełnie nieczuła, sama nie podlegając wrażeniom które budziła w innych. — Chłodna i szydercza, śmiała do zuchwalstwa, miała tylko słowa pogardy dla tych, którzy ulegali jej czarom, a dziką, wyrafinowaną przyjemność w budzeniu namiętności, których ani chciała, ani mogła zadawalać. — Hrabianka chowała się z młodszym bratem najprzód samowolnie pod nadzorem starego kamerdynera Remigiusza, a potem pod sterem kilku guwernantek cudzoziemek, które kłóciły się i kochały nieustannie z guwernerami i w guwernerach wszelkiej narodowości, czuwających nad wykształceniem hr. Gustawa. Skoro tylko cokolwiek się rozwinęła, Ernestyna sprobowała współzawodniczyć w hołdowaniu rzeszy profesorskiej, ze swemi nauczycielkami i z tych turniejów wycho-

dziła zawsze zwycięzko. — To nadało jej ową pewność, która przyspiesza i czyni kompletnem zwycięztwo. Syta sławy i powodzeń, patrzyła na każdą nową zdobycz z pogardą—i wśród kalejdoskopu figur, jeden tylko mężczyzna został dla niej wyjątkiem, a tym mężczyzną był Witold Saryusz. — Blizkie sąsiedztwo i zażyłość hrabiego Remigiego z panem Tadeuszem Saryuszem, bardzo wcześnie zbliżyły młodych ludzi do siebie; stało się to prawie w dzieciństwie i na pół żartem na pół seryo, oboje dla siebie przeznaczeni zostali.— Zwyczajnym trybem biorąc rzeczy, mogło to młodych ludzi od siebie oddalić, skoro doszli do wieku w którym żarty zwykły się zamieniać w rzeczywistość. — Nic tak nie zobojętnia i nie wyziębia miłości jak przyzwyczajenie, jak owa myśl ciągła: do siebie będziem należeć. Towarzysze lat dziecinnych rzadko, jeśli nie nigdy, są sobie serdecznymi towarzyszami po zaklętej krainie miłości.

Dla Ernestyny dziecinna przyjaźń względem Witolda była wyjątkiem; chłopiec rozwinął się wcześnie, wcześnie spoważniał i wcześnie swój stosunek do hrabianki wprowadził na drogę pewnej etykiety. — To trzymanie się zdala drażniło

miłość własną podlotka, a niepokoiło—skoro podlotek przerodził się w dziewicę. Rozkwitające zmysłowe wdzięki Ernestyny, budzące taki popłoch w otoczeniu męzkiem, nie robiły wrażenia na Witoldzie. Królowa odbierając powszechne hołdy, znalazła dość dumną głowę, która nie pochylała się przed nią, jak pochylają kwiaty w obec gorącego oddechu siroco. Ernestyna spostrzegła to zaraz i poczuła ból w sercu. Już kochała. — Zdawało się jej początkowo, że to jest tylko uczucie obrażonej miłości własnej, postanowiła śmiałością zmusić przeciwnika do uległości, ale spostrzegła, iż mimo pewności siebie, pewności w obec innych, staje się dziwnie niezręczną i nieśmiałą w obec Witolda. Dowiedziała się, że nie ona jest władczynią— ale raczej że władzy ulega; wkrótce zaś, miała się zapoznać z daleko sroższem cierpieniem — z zazdrością.—Jeżeli Witold nie ulegał wpływowi wdzięków Ernestyny tym bardziej stał się dla niej chłodnym, gdy dusza jego spłomieniała dla pięknej synowicy proboszcza. — Młoda hrabianka wnet się domyśliła co zaszło w sercu jej towarzysza lat dziecinnych — ostrzegł ją o tem instynkt kobiecy, a potwierdziły wiadomości zebrane przez wierną pani poko-

jówkę. Dowiedziawszy się gdzie młodszy Saryusz przepędza wieczory, ile razy bawi w Lipiu, Ernestyna najbliższej niedzieli pojechała na nabożeństwo do sąsiedniej parafii, chociaż zwyczajnie odwiedzała kościół słomiańskich kapucynów. — Jeden rzut oka przekonał ją, że proboszczowski kopciuszek wart był współzawodniczyć z hrabianką Wysokopolską. — Powiększyło to tylko ranę w jej sercu, wzbudziło zazdrość, a jednocześnie głęboką nienawiść ku szczęśliwej rywalce. Jakkolwiek to było dzikiem i nieprzyzwoitem, Ernestyna wybuchła w obec Witolda, zmuszając go do objaśnień. Saryusz ani chwili nie zostawił ją w wątpliwości. Nie czując się dumnym ze zwycięztwa nad piękną hrabianką, oświecił ją prosto, iż nigdy nie będzie podzielał uczuć, których nie pielęgnuje w sercu, a widoki rodziców, jeśli kiedykolwiek istniały, muszą ustąpić przed rzeczywistością. Był biedny i szukał towarzyszki biednej, którąby podzieliła prace i trudy pozycyi, jaką jej mógł ofiarować. — Ernestyna powiedziała mu prawdziwą przyczynę jego chłodu: milczał, nie uważając za potrzebne tłumaczyć się. Chociaż hrabianka Wysokopolska dobrze zrozumiała, iż uderzenia jej serca nigdy nie będą podzielonemi,

nienawiść dla przyczyny jej zawodu, rosła jak piołun hodowany w ciemnościach.

„Jeśli nie będzie moim — to nie będzie niczyim"— oto co powiedziała sobie mściwa i dotknięta w miłości arystokratyczna dziewczyna; a te słowa powtarzała po setny raz uroczyście, powracając z przejażdżki do Krzyża, gdzie przypadkowo spotkała się z Witoldem, i gdzie w rozmowie odświeżyła wszystkie rany swego serca.— Hrabianka dosiadłszy konia nie wracała prostą drogą do Słomian, ale jakby dla dania folgi napiętym nerwom, popędziła przez gąszcze leśne i wertepy ścieżką, która wiodła z przeciwnej strony do klasztoru kapucyńskiego w Słomianach. — Stary sługa Remigiusza, na chudej szkapie zaledwo mógł nadążyć w ślady swej młodej pani. Ernestyna potrzebowała ruchu, a ruch wyradzał w jej pięknej głowie jakieś pomysły, które pałającem rumieńcem oblewały jej kwitnące jagody. Nareszcie osadziła konia na niewielkiej polance, od strony lasu dotykającej klasztornego ogrodu, będąc od niego ogrodzoną dość wysokim murem. Czas jednakowoż, psotnik, kamienną ścianę w wielu miejscach poszczerbił, a przez rozpadliny można się było dokładnie porozumiewać osobom po obu

stronach muru stojącym. Ernestyna kazała się służącemu zatrzymać, a sama podjechawszy pod jedną z większych rozpadlin, trzykrotnie lekko klasnęła. Po niejakiej chwili, ukazał się zakonnik, któremu młoda dziewica dała rozkaz, aby przywołał przeora. Widocznie i hasło i rozkaz nie były pierwszy raz wydanemi, bo nie zadziwiły nikogo a przeor niedługo się zjawił ze swym dobrotliwym uśmiechem na arystokratyczno-tłustej twarzy. Nie zsiadała hrabianka z konia, ale zbliżywszy się do muru, podała swą białą rączkę przeorowi, który ją dość namiętnie do grubych ust przycisnął. Rozmowa prowadzona półgłosem, trwała więcej niż kwadrans.... co mówiono, może tylko wiedziała sowa, mająca gniazdo w sąsiedniej dziupli. Ernestyna żegnając się rzekła:

— A więc to ułożone, poślij ojcze jutro do Brobka.... a wieczorem czekamy cię u siebie — adieu!

Skinęła rączką, uderzyła konia spizrutą i ruszyła z kopyta ku drodze wiodącej do słomiańskiego pałacu... Na skręcie czekał już Remigiusz piastun-towarzysz, a zapewne i powiernik hrabianki. — Gdy Ernestyna przed tarasem pałacowym zsiadła z konia, już zwykłych domowników za-

stała zebranych do wieczerzy, w saloniku jadalnym. Hrabina do swych przyzwyczajeń wykwintnych, łączyła zamiłowanie stołu, a obiady i wieczerze obchodziły się zawsze z pewną ostentacyjną ceremonią. Dopomagał jej w tem hrabia Gustaw. Młodszy od siostry o rok, był doskonałym jej odtworzeniem w męzkiej postaci. — Brakowało mu tylko bystrości i powściągliwości żeńskiej natury. Jeżeli Ernestyna z płomieni które budziła na okół wychodziła sama żywą i nietkniętą, jak salamandra, to hr. Gustaw opalił sobie najprzód skrzydła, a potem usmażył się w sosie własnych namiętności, które górowały nad jego zmysłową naturą. Dobrze rozwinięty, doskonale zdrów, siły atletycznej, rozumiał tylko życie przez wszechstronne użycie. Nie odmawiał też sobie nic, o ile na to pozwalały środki zrujnowanego do szczętu majątku. — Jego zasób umysłowy wystarczał mu do prowadzenia przyjemnego towarzyskiego życia; zresztą nie puszczał się na pola jakichkolwiek rozpraw. Jedną mu tylko krzywdę zrobiono: nie nauczono go rozumieć się ani trochę na interesach. Nie lubił się niemi zajmować, jak zresztą nie znosił żadnej systematycznej pracy. — Ciągle zajęty obmyślaniem przyjemności,

zabaw i rozrywek nie był w ich gatunku zbyt wybrednym.—Nie szło mu o jakość ile raczej o ilość. Lubił polowanie, byłby chętnie grał w karty gdyby miał pieniądze, znajdował przyjemność w dobrym stole, ale głównym jego celem były łatwe miłostki. Pięknej postawy, miłej twarzy, łatwego obejścia lubo niezbyt wykwintnych manier—był przyzwoitym kobieciarzem. Użyliśmy wyrazu „przyzwoitym" hrabia bowiem Gustaw we wszystkiem co robił, czem się zajmował, co go jakąkolwiek poruszało pasyą, zachowywał przyzwoitość. Jeżeli nie odziedziczył po swoich przodkach ani miłości dla społeczeństwa, ani wysokiej ambicyi, tyle przynajmniej miał poczucia, aby nieprzyzwoitemi wybrykami nie kalać ojczystego nazwiska. Dbał więc bardzo aby względy przyzwoitości nie były nigdzie naruszone, co zresztą nie było trudnem, bo świat wiele przebacza ładnym, za bogatych uchodzącym chłopcom, a do tego ozdobionym rzeczywistym tytułem hrabiowskim. — Stosunek jego z siostrą był również przyzwoitym; bystrzejsza, bardziej skończona i zdecydowana Ernestyna, traktowała brata jak wygodne dziecko, otaczała opieką ofiary jego przedpokojowych miłostek, była mu powiernicą w razach ważniej-

szych, powiernicą bardzo pobłażliwą, choć niemiłosiernie szyderczą. — Mianowicie w razie niepowodzenia zabiegów hr. Gustawa, sarkazm Ernestyny stawał się iście nieznośnym. Widocznie arystokratyczna panna miała nader niekorzystne wyobrażenie o cnocie kobiecej i uważała ją zawsze sposobną do wyzyskania, jeżeli tylko mężczyzna rozwinie dostateczną zręczność — braku zaś zręczności przebaczyć nie mogła.— Łatwo się domyśleć, iż hrabianka tej samej niedzieli której poznała Marynię, poszczuła hr. Gustawa, a ten nie zwlekał długo z wędrówką na proboszczówkę, aby zobaczyć nowe wschodzące słońce. Od tej chwili zachęty Ernestyny były bezpotrzebne, gdyż hr. Gustaw uznał, iż jest to pierwsza rzeczywista piękność, której chciał swe względy poświęcić; piękność jednak okazała się nieprzystępną — ani miła powierzchowność naszego bohatera, ani jego zabiegi wytrwałe, ani mitra, ani dystynkcya obejścia — ani wiele innych *ani*, nie mogły pokonać chłodu, którym się Marya okryła przed zalotnikami. — Czy opór stawiany przez dziewczynę, czy też magiczny czar jej wdzięków, czy nareszcie nielitościwe żarty, których nieszczędziła Ernestyna — a może wszystko razem, tak podziałało na

hr. Gustawa iż mimo oczywistości, nigdy się nie wyrzekł swych starań i zabiegów. — Zmienił tylko ton i sposób postępowania, z jawnego adoratora starał się przejść na pozycyę przyjaciela i powiernika, a gdy i to mu się nie powiodło, zadowolił się możnością utrzymywania ciągłych stosunków, starając się uczynić potrzebnym, jeśli nie nieodzownym. Przywoził Maryni listy od jej siostry z Warszawy, trudnił się wysyłką korespondencyi, miał zawsze dla młodej dziewczyny tysiąc wieści zachęcających ją do odwiedzenia siostry. Ciągnęło się to już dość dawno, a hr. Gustaw w tym względzie nie okazywał najmniejszego znużenia i znudzenia, a na wszelkie żarty Ernestyny odpowiadał stale.

— Poczekajmy końca!

Marya więc była idée fixe hr. Gustawa, idée fixe nader wygodnem, pozwalającem mu się kochać i umizgać do wszelkich innych ładnych kobietek; niemniej jednakowoż hrabia byłby porzucił najbardziej interesującą schadzkę, jeżeli nadarzyła mu się w tej chwili sposobność przepędzenia obok Maryni kilku choćby chwilek. — Opór proboszczowskiego kopciuszka nie zmienił też przekonań hr. Ernestyny co do kruchości kobiecej cnoty—ale

ją upewnił iż Marynia jest wzajemną Witoldowi; hrabianka niewierzy, że kobieta zakochana jest nieprzystępną zalotom choćby najbardziej eleganckiego młodzieńca z mitrami lub bez mitr.— Stałość brata, który nigdy nie tracił nadziei, znalazła poparcie Ernestyny, boć chętnie wierzymy w to czego sobie życzymy.

— Nie upadła dziś — to może upaść jutro, powtarzała sobie w duchu podcinając biczykiem szyderstwa okrzepłą miłość własną brata Lowelasa.

Nazajutrz po wizycie Ernestyny w klasztorze, a raczej po tajemnej rozmowie z przeorem przy rozpadlinie klasztornego muru, — cała rodzina Wysokopolskich znajdowała się w średnim salonie, którego drzwi zastępujące okna, wychodziły na ogrodowy taras, dzikim winem starannie ocieniony. Na tarasie siedząc w wygodnym fotelu amerykańskim opatrzonym biegunami, palił wonne cygaro hr. Gustaw i roztargnionym wzrokiem wodził po pięknym krajobrazie, jaki się ztąd roztaczał. — O kilka kroków Ernestyna w letnim jasnym stroju, piękna jak bóstwo a wyniosła jak królowa, przechadzała się niespokojnym krokiem, myśli natrętne czy muszki figlarki odpędzając na-

głemi ruchami. W saloniku w głębi, na pół leżąc na pół siedząc hrabina matka, strojna i dekoltowana, trzymając w alabastrowej ręce welin francuzki, trawiła godziny, nie odzywając się ani słówkiem do swych dzieci.

— Nareszcie! — szepnęła Ernestyna, cicho zaciskając wargi — nareszcie idzie!

— Kto taki? zapytał leniwie Gustaw, posłyszawszy uwagę siostry.

— Przeor.

— Przeor... no, to nic ciekawego... przynajmniej dla mnie...

— Ludzie twojego stanu, zawsze być winni względnymi dla duchownych.

— Ach moja mamo, dajże pokój pod tym względem Gustawowi, toćże on dla dochowieństwa uprzedzająco względny — czyż nie odwiedza pilnie probostwa w Lipiu, syknęła Ernestyna, piękne swe usta skłaniając do złośliwości.

— Ja myślę że i ty księdza Anzelma słuchasz z przyjemnością...

— Tak, w widokach przyszłego mego zbawienia!

— Czas ci jeszcze o tem myśleć...

— Nigdy żbyt wcześnie, tym więcej, żę nie lubię o niczem myśleć długo, nie mam tak stałych

usposobień jak ty i cnota mądrej cierpliwości jest mi obcą. Co raz postanowię szybko wykonywam, albo wcale się do tego niebiorę.

— No, widzę jesteś czemś poruszona — cóżeś teraz postanowiła?

— Pójść za mąż.

— Oho! postanowienie chwalebne, nie zawsze jednak daje się szybko doprowadzić do skutku.

— Dla czego?

— Bo nie dosyć tu pojedynczego „chcę" — trzeba przyzwolenia drugiej osoby — trzeba męża...

— Ernestyna dostać może kogo zechchce — wtrąciła matka, słuchająca tej rozmowy, jakby się toczyła o osobie obcej.

— Niezupełnie, w każdym razie muszę spieszyć nim majowy śnieg naszego majątku do reszty nie stopnieje na słońcu naszej biedy — potem może bym musiała przyjąć rękę prowentowego pisarza.

— Trzebaby nam tegoroczny karnawał spędzić w Warszawie—zauważyła hrabina, tam się znajdzie dosyć ludzi naszego towarzystwa, albo pragnących wejść do naszej sfery...

— Mamo, ja przecież nie myślę być względem żadnych panów odźwierną i ułatwiać wstęp na hra-

biowskie salony — to nie wchodzi w programat mego życia. Mam zamiary cokolwiek zabawniejsze i ciekawsze dla mnie, niż uszczęśliwiać jakiego bankierskiego synka, albo się poświęcać studyowaniu pedogrycznych przypadłości jakiej spruchniałej odrośli starożytnego rodu. Mamo, mam dosyć archeologii we własnym herbie...

— Eh bien! zrobisz jak będziesz chciała — wiesz że ja się do tych rzeczy nie mieszam...

— Naturalnie...

— Ernestyna widocznie musi mieć jakiś ciekawy planik — zawołał hr. Gustaw — czy nie zechcesz nam go objaśnić...

— Z miłą chęcią... postanowiłam zaślubić hrabiego Stefana Saryusza.

— Co? Stefana, myślałem że Witolda.

Ernestyna spłonęła.

— Przynajmniej że Stefana, wycedziła matka nie zmieniając pozy nawet przy stanowczych oświadczeniach córki—inaczej mielibyśmy w naszym rodzie hrabiego-ekonoma... zdaje się Witold do tej posady konkuruje.

— Do jakiej posady Witold Saryusz konkuruje, nie wiem, ale to mi tylko wiadomo, że będę żoną hrabiego Stefana.

— Ależ nie widziałaś go zdaje się z rok...

— To mi wszystko jedno... hrabia dziś wieczór złoży nam wizytę... i zapewne powtarzać wizyty zechce częściej aż do czasu, gdy jako przyzwoity człowiek będzie mógł prosić o moją rękę, którą otrzyma bezwarunkowo.

— Goły jak święty turecki — zauważyła jeszcze matka, przypominając sobie dawne szlacheckie przysłowie.

— Tym lepiej... piękniej się wyda nasza bezinteresowność.

W tej chwili na stopniach tarasu ukazał się ksiądz przeor kapucynów. — Staranność w każdym szczególe otaczającym osobę zakonnika, spływała w jedną doskonałą harmonię. Prostota obok wykwintności, powaga z dobrotliwością łączyły się w całość ujmującą. Przeor budził szacunek i ufność, a wszystko razem świadczyło, że jest człowiekiem wyższych sfer towarzyskich. — Witał on damy świętobliwie a grzecznie, chociaż tylko stara hrabina zdawała się tem zajętą i ujętą. — Ernestyna i hr. Gustaw jakoś mniej ceremonialnie stosunkowali się z księdzem. Po kiku wstępnych frazesach, zagadnął przeor.

— Ależ to naiwność, hrabia Witold urzędowo zrzekł się schedy do Lipia i wyjeżdża tych dni do Warszawy.

— Doprawdy, szczęśliwy człowiek, westchnął hr. August—jakżebym pragnął być w Warszawie.

— A któż panu hrabiemu przeszkadza tam jechać?

— Kto?— zaśmiał się Gustaw—maleńka z najmniejszych rzeczy... szkaradne pieniądze, mamona, którą ty księże Anzelmie co niedziela z ambony wyklinać każesz, ale która obu nam by się przydała...

— Ehe! westchnął ksiądz — tylko że panu hrabiemu dość wyciągnąć rękę, aby zgarnąć potrzebne mu pieniądze, kiedy biedny zakonnik musi się zadowolić tem, co mu ofiaruje miłosierdzie ludzkie...

— Ależ księże Anzelmie — gdyby tylko szło o wyciąganie ręki, naturalnie w celu zgarnięcia groszów, to bądź pewny machałbym nią od rana do wieczora; ale niestety, nie widzę przed sobą pola, któreby takiem żniwem było zasiane.

— Nie mogę temu uwierzyć, mówiono mi za rzecz pewną, iż Szloma ofiarowywał hrabiemu dziesięcioletnią zaliczkę za propinacyę w Słomianach...

— Mnie? jęknęła stara Wysokopolska... mnie już dawno nikt tak świetnej propozyi nie robił.

— Doprawdy? czego to przecież ludzkie języki nie rozniosą. Oj ludzie, ludzie!

— Bawisz mię księże Anzelmie, cóż więc ludzie jeszcze mówili? — wtrąciła Ernestyna.

— A..: godzisz się to powtarzać, mnie zakonnikowi...

— Ależ nie ceremoniujże się przeorze, jesteśmy tu wszyscy swoi, ośmielała hrabina...

— O mówiono że Szloma położył jako warunek udzielania zaliczki, aby obie propinacye słomiańska i w Lipiu, szły ryczałtową sumę i aby tym sposobem hrabianka Ernestyna miała wyposążenie, skoro pójdzie za pana Witolda Saryusza.

— Chciałeś powiedzieć przeorze Stefana...

— Stefana? — niech i tak będzie.

Każde słowo które wymawiał przeor, padało jak nasienie na bujnie przygotowany grunt chęci i namiętnostek w sercach hrabiny i hrabicza. Pierwsza widziała już kupy złota pietrzące się przed sobą, a przez ten pryzmat danaowego deszczu, oglądała rozkoszną drogę ku Paryżowi, wdzięczne Vichy, a potem bale i wieczorynki w Warszawie podczas zimy. Drugi znajdował

urzeczywistnienie gorącej chęci odwiedzenia stolicy, zabawienia się i przywiezienia Maryni listu od siostry, której to przysługi dawno już nie oddał damie swoich myśli. Jedna tylko Ernestyna bawiąc się kwastem pięknego wachlarza, spoglądała z szyderczym uśmiechem na twarze swych najbliższych, na które wypełzło uczucie żądzy i zadowolenia.

— Wszystko to tylko są plotki parafialne, księże przeorze, rzekła hrabina przybierając swą zwykłą obojętną pozę; plotki w których niema cienia prawdy.

— Ale to wszystko mogłoby się sprawdzić gdyby mamuńcia chciała. Doprawdy ktokolwiek bądź wymyślił tę kombinacyę, okazał wcale dobrą głowę — zawyrokował hr. Gustaw.

— Wiesz dobrze, mój synu, że ja się do interesów nie mieszam — to twoje zadanie.

— Czy naprawdę mamuniu?

— Odkąd wszystko się u nas popsuło, odkąd nastały takie straszne czasy i jak to mówicie „usamowolniono chłopa", właśnie odtąd brak posłuszeństwa w ludzie i ja się do gospodarstwa nie mieszam.

— I zostawiasz mi mama tę sprawę do załatwienia?

— Ze Szlomą...

Ksiądz zachowywał skupienie ducha — Ernestyna uśmiechała się szyderczo.

— No dobrze, dobrze, przemówiła wreszcie, ale możeby należało się spytać i mnie też co myślę.

— Ciebie aniołku? przecież w tej chwili oświadczyłaś, iż pragniesz iść za mąż.

— A zostawże mi staranie o to samej — przedewszystkiem pomagaj sobie, bo ci Witold z przed nosa pochwyci łakomy kąsek.

— Wcale się o to gniewać nie będę, ułatwi mi tylko drogę.

— Na którą wstąpiwszy, nie omieszkasz się zabłąkać. Już to nie masz szczęścia i lękam się czy będziesz miał go więcej ze Szlomą.

— Jeżeli to nie jest plotka, przerwał ksiądz, Szloma się sam zgłosi — to dla niego interes.

— Jeżeli ja pójdę za hrabiego Stefana, ciekawam co propinatorowi w Lipiu na tem zależy?

— A! kombinacya finansowa, ci żydzi dobrze się znają na swoich interesach.

— Jutro pojadę zbadać Szlomę.

— Proszę cię, mój Auguście, nie czyń tego — zabroniła hrabina matka, to by z pewnością wpłynęło na obniżkę sumy propinacyjnej...

— Widzę że mama na seryo bierze się do interesu. Otóż zastrzegam się, żeby przy mnie o tem nie było mowy, gdyż mnie to wcale nie obchodzi kto będzie trzymał karczmy w Słomianach.

— Szloma kłaść ma tylko jeden jeszcze warunek, wtrącił przeor — oto chce aby hrabia pozwolił na zbudowanie dwóch karczem, jednej na drodze ku Lipiu około klasztoru, a drugiej na przejeździe z klasztoru ku Słomianom.

— Czy oszalał? stawiać karczmy na wygonach i pustkach — cóż to księże przeorze, Szloma ci chce rozpoić twoich laików? alboż lochy kasztorne już próżne?

— Widocznie hrabia dawno nie był w klasztorze i zapominał, iż w lochach spoczywają jego przodkowie — rzekł ksiądz z pewnym niesmakiem.

— Dajże pokój przeorze — przecież tyle się znam na rzeczy, iż mogę rozróżnić sarkofag mego dziada od antałka...

— Ojciec Rafael zawsze pracuje nad wynalezieniem złota w swem podziemiu? zapytała hrabina matka, chcąc przerwać spór i zamaskować niestosowną odpowiedź syna.

Przeor się uśmiechnął dobrotliwie do starej damy i skinął głową potwierdzająco.

— Nie tylko że pracuje, ale podobno znalazł już kamień filozoficzny i wkrótce zacznie przemieniać metale w złoto czyste, odmładzać ludzi, i przywracać im wdzięki.

— Eureka! zawołała śmiejąc się Ernestyna — a czy umie on także robić ładne brzydkiemi?

— Chciałabyś zbrzydnąć Ernestyno?

— Ja, niech mię nieba zachowają — kobieta brzydka, to coś gorszego od rzeczy najgorszych. Mogę się tylko pytać z życzliwości dla innych....

— W każdym razie ksiądz Rafael człowiek istotnie uczony — zapewniał przeor — uczony na drodze do bardzo ważnych wynalazków. Ostatniemi czasy zbudował on przyrząd, za pomocą którego można być słyszanym w znacznej bardzo odległości. Twierdzi iż przyrząd ten zastąpi z czasem telegrafy.

— O niewątpliwie ksiądz uczony, mógłby robić cuda! zaśmiała się Ernestyna.

— Robić cuda? szepnął ksiądz przeor blednąc, robić cuda! ach pani masz pomysła... wybujałe... robić cuda! Bóg tylko robić może cuda... Z tem wszystkiem dziwny pomysł... dziwny pomysł!

Ksiądz zdawał się być jakby uderzony temi prostemi i przypadkowemi słowami Ernestyny.

Mimo sztuki z jaką układał swe oblicze, trudno mu było ukryć grę myśli, jaka się toczyła pod czaszką. — Oczy niezwykłym zaświeciły mu blaskiem, usta szeptały jakieś wyrazy... ręce kurczyły się i roztwierały. Ale ani stara hrabina, ani hr. August nie widzieli tego wzruszenia przeora, które tylko uwagi Ernestyny nie uszło; nie widzieli, gdyż we drzwiach ukazał się wygalonowany sługus i zawołał grzmiącym głosem:

— Kolacya na stole!

X.

Klasztor w Słomianach nie należał do budowli zalecających się starożytnością. Było to dzieło kaprysu w starych latach pani starościny, która po życiu pełnem przygód osądziła, iż należy coś zrobić dla grzesznej duszy. To „coś" stanęło w postaci kościoła z klasztorem; kościół był postawiony w kapucyńskim stylu barocco, nagi, ubogi niczem się nie zalecał ani zewnątrz, ani wewnątrz. Klasztoru już starościna nie zdołała dokończyć, bo nielitościwa śmierć — powołała ją do królestwa, kędy się rozdźwięka nieustający hymn hosanna.

Troska więc o dokończenie budynku przypadła samym zakonnikom; a że sprawa nie była łatwą bo kapucyni to zakon żebrzący, więc klasztor był biedniuchny, ladajako sklecony i nie zalecał się niczem szczególnem. To też mimo poszanowania dla habitu u przodków naszych, mimo zabobonnej czci pośród ludu, kapucyni słomiańscy niczem nie słynęli, nic do tego miejsca nie ciągnęło, nic tam nie było, coby zwrócić mogło uwagę. Mianowicie z oziębieniem starodawnej pobożności, gdy upadł jej duch u szlachty, a klęski krajowe zrujnowały dawną zamożność, klasztor począł doświadczać rzeczywistego niedostatku. Zmniejszyła się liczba ojców, a mało kto brał się do habitu, który w Słomianach przestał być synonimem dobrobytu. Rzeczy zaszły tak daleko, iż przewidywano dobrowolne zamknięcie klasztoru i pewnoby do tego przyszło, gdyby na jednej z kapituł prowincyonalnych, nie wybrano przeorem księdza Anzelma, — Potomek arystokratycznej choć zubożałej rodziny, ksiądz Anzelm odebrał bardzo staranne wychowanie, nabył wszystkich manier wielkiego tonu w domu bogatych krewnych, którzy sierotę przytulili do siebie.

Młodzieniec to był piękny, pełen pańskich przymiotów, bystrości wielkiej i rozumu, który wysoka kultura wykształciła. — Może właśnie z tego powodu wcześnie spostrzegł, jak fałszywe zajmuje stanowisko w społeczeństwie. Dziedzic imienia nie miał pod stopami piędzi ziemi własnej, a była mu ona tym bardziej potrzebną, iż wyrosł korpulencyą zakrawającą na kalectwo. Jego nienaturalna tusza wcześnie się poczęła przejawiać, tamując mu karyerę na wszelkiej drodze godnej krwi, która krążyła w jego żyłach. — Młodemu tłuściochowi niepodobna się było wpakować w obcisły mundur wojskowego, a dyplomatyczne tory już były zamknięte. — Bystro ocenił iż tylko sutanna lub habit mogą mu zgotować stanowisko odpowiednie jego ambicyi, rodowi i żądzy znaczenia. Jakkolwiek zrozumiał to wcześnie, było jednak już zapóźno wstępować w szeregi seminarzystów, ażeby na polu duchowieństwa świeckiego dobijać się stanowiska. Pojął również z wielką znajomością rzeczy, iż mądrość duchowna, która tak wiele pomaga do karyery, nie przychodzi łatwo i wymaga lat ciężkiej pracy, do której choć niebrakło mu zdolności, ale niedostawało chęci. Wybrał on więc kierunek

bez porównania łatwiejszy, a również prowadzący do zamierzonego celu.—Wstąpił do klasztoru, którego reguła surowa, ascetyczna pozwalała zasłynąć świętobliwością, zastępującą u zakonnika książkową mądrość. Łaska Boża lepiej oświeca niż słońce choćby teologicznej wiedzy.—Utytułowany, dystyngowany, rozumny ksiądz Anzelm mimo swej tuszy, był ulubieńcem wszystkich dam poświęcających się dewocyi... Współtowarzysze jeśli go nie kochali dla oschłości jego serca, to go musieli szanować, a potrochu się wstydzić i obawiać. Był daleko lepszym od nich, bo zdawał się nie mieć żadnych namiętności. Dla biednego zakonnika nie jest to łatwą rzeczą pozbyć się ludzkich żądz i chęci. Pogwałcona natura mści się na gwałcicielu. Wizye Św. Antoniego nie są urojeniem, ale nader strasznemi przypadłościami ascetów. Zresztą nie u wszystkich ludzi fala życia bije w jednym kierunku, ale skoro zatamujemy jej ujście w jednym, wnet występuje gwałtownie w innym. Namiętności i powstające z nich nałogi u duchownych i zakonników, zawsze są anormalne i potworne, zawsze sięgają zenitu. Nie darmo tradycya nasza największego szermierza kielichowego ubiera w habit braciszka, a czarna su-

knia synów Lojoli jest uzmysłowieniem przebiegłości, podstępu i panowania opartego na intrydze. — Przywary i usterki braci dawały księdzu Anzelmowi broń w rękę, broń tym straszniejszą, iż przeciwko niemu nie można jej było użyć. Co więcej, ksiądz Anzelm ze swoją tuszą, dobrodusznym uśmiechem, łagodną mową, nie zdawał się sięgać po berło panowania — powierzano mu więc takowe tym ochotniej. Jarzmo było złote i czuć się nie zbyt dawało—niemniej jednak było ono jarzmem tym straszniejszem, im mniej się go domyślali noszący złote kajdany, Ksiądz Anzelm zostawszy przeorem słomiańskim, wpływu swego użył najprzód na podźwignięcie klasztoru. Wziął to sobie za pierwszy obowiązek i za pierwszy stopień do stanowiska, które mu ambicya wskazywała w kościele. Przekonał się przecież wkrótce, iż najtrudniejszej podjął się roboty, bo wziął się do ożywienia tego co umarło. Na wewnątrz ani podobna mu było przemówić zrozumiale do ojców i braci, którzy stracili wszelkie poczucie, prócz przyzwyczajenia powierzchownej pobożności; mógł nimi rządzić trzymając każdego za jego wady i zdrożności, jak się trzyma lejc rumaków, któremi się pragnie kierować, ale za-

prowadzić między niemi jakąkolwiek organizacyę było niepodobieństwem. Duch ascetyzmu uleciał bezpowrotnie, jak ulata zapach kwiatów uwiędłych, a nic go nie zastąpiło, ani nauka, ani życie pracowite i czynne. Działanie na zewnątrz nie było lepsze. Kwesta codzienna żywiła ladajako pobożnych próżniaków, ale też na tem i koniec. — Ksiądz Anzelm stanowiskiem swojem byłego arystokraty i zręcznością, poprawił sytuacyę nieco — ale to nie odpowiadało ani potrzebom rzeczywistym, ani marzeniom przeora. Jego piwnica została zaopatrzona, jego spiżarnia nie cierpiała na braku zwierzyny i konfitur, nawet zakrystya ubrała się w aparata i szaty kościelne, ale klasztor nie zbogaciał mamoną, której gwałtem było potrzeba, aby podźwignąć walące się budynki i mury, jak również aby odżywić chęć wstępowania do klasztoru przez nadanie mu stosownego kierunku misyjnego. Wtedy tylko mógłby szlachetny przeor pokazać Kościołowi, iż stworzył a przynajmniej do życia powołał jedną warownię ku skutecznej obronie, że usłał jedno rozciągłe gniazdo w sieci którego łowić się miały dusze grzeszników. — Wtedy mógł marzyć o zajęciu jakiego rzeczywiście wpływowego i wyż-

szego stanowiska w hierarchii kościoła. Ksiądz Anzelm nieopuszczał rąk, krzątał się, zabiegał, naganiał w swe sidła dusze powołane i niepowołane, przekonany zawsze, iż prędzej czy później, przyjdzie mu na czele zwerbowanej kohorty, ważną odegrać rolę. — Dotąd połów był szczupły, ale ks. Anzelm pamiętał o owym ewangielicznym i spodziewał się ciągle, iż w rozstawione sieci jakaś lepsza wpadnie ryba. — Zresztą, nadziei uczyło go doświadczenie. Klasztor w Słomianach dawnoby już zbankrutował, mówiąc językiem tegoczesnym, a ks. Anzelm dawnoby swą upadłość ogłosić musiał, gdyby nie wypadek zarówno dziwaczny, jak dla kapucynów korzystny. — Kilka lat temu, w dzień zimowy zastukano gwałtownie do drzwi klasztoru. Była to pora roku i pora dnia, w której nie zdarzył się podobny wypadek nigdy, jak dawno ojcowie pamięcią zasięgnąć mogli. — Stukającym był podróżny dostatnio odziany w futro, osobiście powożący maleńkiemi sankami; uwiązał on konia przy furcie i spokojnie zażądał widzenia się z przeorem. — Wyglądał tak pokaźnie, iż mu nie można było odmówić tego zaszczytu. — Przeor przyjął przybysza w swym apartamencie z kilku większych

celi klasztornych przerobionym, dość bogato, ze względu na hrabiowskie pochodzenie księdza urządzonym.— Na kominku palił się żywy ogień, a przeor grzejąc swe duże ciało, czekał z powagą i umiarkowaniem, co mu przybyły powie.— Lecz to co mu przybyły powiedział, musiało być bardzo ważne, ksiądz bowiem wstał, przysunął krzesło i prosił uniżenie swego gościa, aby zajął miejsce przy ciepłem ognisku. — Przybyły jednak nie uczynił zadość temu żądaniu, ale stojąc w pokornej postawie, ciągnął dalej swe zwierzenia. Ostatecznym rezultatem narady był rozkaz przeora, wydany staremu ogrodnikowi, aby saneczki podróżnego wprowadzono do wnętrza klasztoru, konia umieszczono w stajniach, a tłumoczek podróżnego zniesiono do jednej z cel opustoszałych po niedawno zmarłym braciszku. — Nazajutrz przeor oznajmił zakonnikom, iż przyjmuje na stały pobyt do klasztoru podróżnego, jak to zaleca ojciec prowincyał, że podróżny jako osoba nie wykonywająca ślubów, będzie się uważał za furtyana, chociaż nie myśli stróżować przy furcie.— Klasztorowi przecież z tem wszystkiem wcale źle nie będzie, gdyż podróżny na koszta pobytu składa kilkanaście tysięcy, które obrócone zosta-

ną na wyrestaurowanie murów, gwałtownie reparacyi potrzebujących. — Dodał przeor, iż przybyły wdzieje zwykłą suknię zakonną, że się będzie zwał Ojcem Rafaelem, że się uchyla od wszelkich regułą przepisanych obrzędów—w końcu nadmienił: iż jest to uczony człowiek, nieszczęściami zagnany w zacisze klasztorne, należy mu się więc szacunek, dyskrecya i spokój. — Łatwo to wszystko było przeorowi zalecić, a nawet do wykonywania tych zaleceń własnym przykładem zachęcać, ale w bezczynności ciekawością trawione mnichy, wcale nie myśleli dać spokoju nowemu przybyszowi. — Tym trudniej było im rozkaz przeora zachować, iż sam nieznajomy, jak również wszystko co go otaczało, wydawało się niezwykłem, dziwacznem bo przerażającem. — W niedługi czas po zainstalowaniu się w klasztorze O. Rafaela, przyszły na miejscową pocztę pod jego adresem paki i skrzynie aż z zagranicy. — Skoro je otworzono, Ojcowie się przekonali, że w skrzyniach mieszczą się książki... większe i mniejsze, ale wcale z nowożytnym wyglądem.— Niestety, były to wszystko książki pisane różnemi farmazońskiemi językami, a nie wielka tylko ilość polskim i łacińskim, lubo i te tytułami i treścią

dalekie od zajęć pobożnemu zakonnikowi właściwych. — Podejrzenia ojców wzmagały się każdego niemal miesiąca, każdego bowiem miesiąca przybywała nowa paka z książkami. — Ogarnął dobrych księży strach, że jeżeli to tak dłużej potrwa, klasztor nabity zostanie przeklętą bibułą. — Ale obawa urosła jeszcze więcej z nadejściem ciepłej pory roku. — Z wiosną za pieniądze złożone przez nieznajomego, wzięto się do restauracyi klasztoru, ale ku niemałemu zgorszeniu wszystkich, przedewszystkiem odnowiono kościelne sklepy, zamiast naprawić dach, przez który lała się woda na łysiny zacnych ojców. — Przecież nieboszczyki mogli bezpiecznie poczekać, kiedy żywym naturalny prysznic wcale nie był potrzebnym. — Uporządkowano jednak wprzód trumny i skutkiem tego, jeden wielki sklep podchodzący tuż pod sam klasztor został wypróżniony, oczyszczony, kamienną posadzką zaopatrzony i nowem wcale porządnem półkulistem oknem weneckiem rozświetlony. — Wszystko zaś to robiło się z rozkazu przeora, ale na polecenie i pod dozorem O. Rafaela. — Uczony też ojciec furtyan objął sklep w swoje posiadanie i tam pomieścił mnóstwo pak, również z zagranicy przybyłych.

W nowych tych pakach, które z wielką wnoszono ostrożnością, okazały się różne dziwaczne narzędzia, szkło kształtem niepodobne do kufli lub kieliszków, lampy i lampeczki, porcelana, którejby raczej przystało stać w aptece niż w klasztorze. — Co gorzej, w sklepie tuż obok nieboszczyków oddzielonych tylko ścianą, urządzono komin i ojcowie ze zgrozą widzieli, iż w kominie tym preparują się jakieś straszliwe zapewne ciała, ku zagładzie rodu ludzkiego przeznaczone niewątpliwie. — Słowem, sklep zajęty został na laboratoryum, na pracownię uczonego.

Stosowne i wcale odpowiednie do tego były obyczaje O. Rafaela. Nie uczęszczał on na pacierze, nie zaglądał do chóru, nie obserwował żadnych obrzędów — ale za to już o wczesnym ranku wychodził z puszką blaszaną i siatką na pol, — dążył do lasów i przebywał tam częstokroć całe dnie na zbieraniu roślin, lub łowieniu motylów. — Natomiast skoro nie było pogody, zamykał się O. Rafael w swej celi, lub schodził do sklepu, gdzie długo w noc samotne trawił godziny.— Wtedy czerwone światło komina oświetlało podziemie, a okno weneckie buchało snopami dziwnych blasków. — Ojcowie — mianowicie młodsi,

niejednokrotnie chcieli podpatrzyć roboty O. Rafaela, ale było to daremnem. Dziurka od klucza szczelnie była zamknięta, oknem zaś zajrzeć ani było sposobu. Klasztor wznosił się na niewielkiem wzgórzu, którego stromy bok omywała rzeczułka, ta sama psotnica, która obracała turbinę w fabryce Julka, poniżej biegła przez łąki należące do klasztornego młyna. — W tem miejscu rzeczka była szerszą i toczyła swe nurty, jakby wąwozem między dwoma wzgórzami, na jednem z których wznosił się klasztor. — Okno ze sklepu O. Rafaela, wychodziło właśnie na ową rzeczkę i równało się prawie ze ścianą stromego, krzakami obrosłego wzgórza. Przystąpić tam ani sposób z żadnej strony, chyba spuściwszy się z górnych pięter po lince. Natomiast z okna pracowni O. Rafaela, które górowało po nad wzgórzem przeciwległem, roztaczał się widok daleki i czarujący. Owe wzgórze przeciwległe, wieńczyła maleńka stara figurka Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku. Na ceglanym piedestale, z którego czas i ręka swawolników tynk obiła, sterczała figurka kamienna, poszczerbiona, z nimbem metalowym na głowie, a podobny nimb dźwigał maleńki Chrystus. — Około figurki rosły płaczące wierz-

by, kierując swoje warkocze ku wodom w dole szumiącej rzeczki. — O parę kroków od piedestalu niżej, wypływało maleńkie źródełko wody czystej jak kryształ, zimnej i smacznej. Ze źródełka nikt nie korzystał, gdyż dalej wznosiła się góra pokryta gęstym lasem, z klasztoru zaś czerpano wodę u innego stoku. — Postawienie więc figurki było zapewne fantazyą założycielki klasztoru, która, jak wszystkie wielkie damy zeszłego wieku, kochała się w sztuce regulującej naturę. — Od jej też zapewne czasów, nikt na figurkę nie zwracał uwagi i niebożątko poczerniała, przekrzywiła się trochę, a tylko okoliczny wieśniak przechodząc tędy, czapkę uchylał i prostemi usty szeptał „zdrowaś". — Jeżeli do mieszkania lub pracowni O. Rafaela niełatwo się było dostać, tym trudniej było zdobyć jego zaufanie i uchylić tajemnicę, którą się osłaniał ten dziwaczny człowiek. — Ten i ów z ojców pobożnych, probował przełamać milczenie, zagadnął nowego przybysza, zapuścił swe sieci inkwizytorskie — ale bezskutecznie. — Uczony furtyan był bardzo grzeczny, słodki i uprzejmy, ale po za zwykłą gawędkę nie dał się wywabić. — Probowano różnych sposobów ze wszystkich stron, ale dowcip zakonny

nie mógł się zdobyć na żaden środek skuteczny.— Jedynie tylko O. Hiacynt uchodzący za najlepszą naukową głowę w zakonie, był na tropie zawarcia z O. Rafaelem jakichś ściślejszych stosunków. — Nauka, pokazało się, była słabą stroną pancerza, którym się okrył nowy przybysz; uderzywszy w stronę naukową, ludzki szlimak wychylał się ze swej skorupy. — O. Hiacynt wdał się w naukową dysputę z O. Rafaelem, lecz usłyszał z ust ostatniego, zdania tak heretyckie i zatrważające, tak śmiałe i bezbożne, iż zatkawszy sobie uszy, pobiegł do przeora. — Przeor nakazał O. Hiacyntowi względność i ostrożność, lubo nie bronił mu nawrócić starego grzesznika na drogę dobrych zasad. — Być posłusznym przełożonemu, jest cnotą zakonnika. O. Hiacynt wziął swą misyę do serca i przejrzawszy na nowo wszystkie książki teologiczne, z nabojem argumentów przystąpił do ataku. — Miejscem bojów był refektarz, chwilą — godzina obiadowa, świadkami cały konwent. Ojciec bowiem Hiacynt chciał w obliczu swej armii zbić nieprzyjaciela i wprowadzić go tryumfalnie do własnego obozu. — Ale ku wielkiemu zdziwieniu, O. Rafael przyjął wyzwanie i bronił się tak skutecznie, iż zmusił pobożnego

przeciwnika do cofnięcia się z pola zapasów. Mało tego, pociągnął swym dowcipem łagodnym a ujmującym, swą wymowną argumentacyą prozelitów, mianowicie z pomiędzy młodszych ojców. Widząc na co się zanosi, ksiądz Przeor zakazał O. Hiacyntowi prowadzić dalszych dysput, czem znakomitego teologa dotknął do żywego.—Wszeląko złość pobożnego katechety nie zwróciła się ku przeorowi, ale ku „przybłędzie", jak zwał odtąd O. Rafaela; czego więc nie mógł dokazać drogą jawnej dysputy, to postanowił osięgnąć pokątnemi intrygami i pobudzaniem do różnych nieprzyjemnych zajść przeciwko uczonemu odludkowi. — Lecz i to nie przydało się na wiele, gdyż przeor stawał zawsze w obronie uczonego furtyana. — Drażniło to tylko ks. Hiacynta, napawało go żółcią i czarnemi myślami. Był biedny bo przemyśliwał o zemście, kiedy O. Rafael zagłębiony w swym zielniku i w swych retortach, ani nawet przeczuwał, jakiej niechęci stał się powodem.

Na drugi dzień po wizycie u Wysokopolskich, przeor zastukał do drzwi pracowni ks. Rafaela. Miał on tu wyjątkowo wejście, z którego co prawda korzystał nader dyskretnie, okazując pełny

szacunek dla prac swego gościa. Ojciec Rafael siedział w wysokiem poręczowem krześle, zaczytany w jakiejś dobrze oprawnej książce; na stole rozłożony był mikroskop wybornej paryzkiej fabryki, kilka cewek Rumkorffa; jedną ścianę zajmował wielki stos galwaniczny, a na kominie rektyfikował się jakiś płyn. Przeor rzucił ciekawym wzrokiem na paginacyę książki, którą starzec czytał: była to oryginalna edycya Boskiej komedyi Dantego. Przez otwarte okno wlewały się strumienie światła i świeżego powietrza, które, przesiąknięte żywicznym zapachem borów, balsamicznie ożywiało piersi. Istotnie, ten starzec czytający Dantego w obliczu lazurowego nieba i skalnych róż co do okna zalotnie zaglądały, wśród otoczenia surowego i poważnego, był osobliwością. Nizki i chuderlawy, miał jednak oblicze dziwnie piękne spokojem, a długa siwa broda spadając na piersi dodawała mu powagi, którą sympatyczny uśmiech łagodził. Przeor witał gospodarza życzliwie, który mu też wskazał miejsce obok stołu. Zawiązała się jedna z tych bezbarwnych pogawędek, jaką zwykle jedna strona wyzyskuje jako wstęp do czegoś ważniejszego.

— Jakżeż tam z twemi pracami mój Ojcze? przemówił nareszcie ks. Anzelm.

— At, powoli to się posuwa; w naturze niema przeskoków, tylko jednociągły rozwój. Badacz musi krok za krokiem śledzić, krok za krokiem postępować, aby podpatrzyć działanie natury.

— Tak, tak. . cuda natury—westchnął ks. Anzelm.

— Cudów w naturze niema, jeżeli pod tym wyrazem rozumiemy wyjątek wbrew przeciwny prawom przyrody. Ale jeżeli weźmiemy w znaczeniu prostem, cała przyroda jest cudowną.

— Przyznaj jednak, Ojcze Rafaelu, iż najcudowniejsze są cuda nauki. Czemże jest względnie do wszechmocy sił przyrodzonych kwiat róży, z całą kunsztownością życia, w porównaniu z iskrą światła, jaką człowiek ograniczony w środkach, wydobywa z tego ciemnego węgla i błyszczącego cynku.

— Niewątpliwie, każda taka iskra jest nietylko wypływem prostej działalności dwóch materyj, ale i cząstką ludzkiej myśli, co te materye postawiła w warunkach, w jakich wydają światło.

— Słyszałem, iż teraz światło elektryczne zostało tak ulepszone, że znajdzie zastosowanie do oświetlania....

— Niewątpliwie, ja sam nawet nad tem pracuję.

— Ty, Ojcze Rafaelu? zawołał ks. Anzelm, udając że o tem nie wiedział, choć mu to dawniej już mówił uczony samotnik.

— Tak jest, ja.

— I potrafiłbyś np. z tego pokoju oświetlić tę oto naprzeciw statuę?

— Rzecz wcale nie trudna....

— Może w teoryi.

— Nie, w praktyce; należałoby tylko np. w nimbie figury umieścić grafitowe węgielki i połączyć je z tokiem przerywanym cewki Rumkorffa.

— Och, to byłoby pewnie bardzo cudowne.

— Niewątpliwie, efekt byłby świetny,

— Taka rzecz godną by była próby.

— Czemu nie—jeżeli ks. przeorowi idzie o to, możemy sprobować.

— Mnie wcale o to nie idzie. Ale jeżeli chcesz, Ojcze Rafaelu, sprobować możemy.

— Trzeba tylko stosownie urządzić nimb i połączyć go drutami z cewką Rumkorffa.

— To przedstawiać będzie niemałe trudności.

— Eh! nie, dodasz mi tylko którego z kleryków do pomocy.

— Niezawodnie. Ale mówiłeś mi jeszcze Ojcze Rafaelu, iż posiadasz sztukę porozumiewania się w odległości.

— No tak, za pomocą przyrządu podobnego do ust i ucha ludzkiego.

— Nigdy nie uwierzę.

— Oto jest ten przyrząd. I ojciec Rafael wyjął dwa jakby niewielkie kubki! połączone drutem. Jeden z nich dał ks. Anzelmowi, kazawszy mu przyłożyć go do ucha, a w drugi sam począł coś szeptać. Przeor ku wielkiemu zdumieniu posłyszał wyraźnie wymówione wyrazy.

— Cudowna rzecz! cudowne narzędzie! czyż słyszeć niem można o parę kroków.

— Tak, na dość znacznych odległościach; gdy natężymy głos słyszeć go można o kilka kroków od narzędzia.

— Ale głos ten słyszą wszyscy co się przy narzędziu znajdują?

— Niezupełnie, najlepiej bowiem słyszy go ten, co się znajduje w ognisku głosu.

— A czy można takie ognisko oznaczyć uprzednio?

— Można, za pomocą praktyki.

— A czy, ojcze Rafaelu, pozwoliłbyś mi pobawić się jednym z takich przyrządów?

— Dlaczegóżby nie, jest to jeszcze zabawka naukowa, ale ma przyszłość przed sobą—kiedyś zastąpi telegrafy.

— Jesteś szacownym człowiekiem—mój ojcze. Lubię tu przyjść, bo się zawsze czegoś dowiem.

— A nasze oświetlenie elektryczne wykonamy?

— Niewątpliwie, ojcze Rafaelu.

— Przyślijże mi przeorze młodego nowicyusza, nauczę go przeciągać druty.

— Jak najchętniej! Ale byłbym zapomniał po com tu przyszedł. Oto list z poczty.

— Daj mi Ojcze! daj! — zawołał furtyan szybko, a ręce mu drżały, twarz wyrażała obawę.

— Nie będę ci natrętnym—oto papier—rzekł przeor podnosząc się, i lekkiem skinieniem żegnając starca, który rozłamał pieczęcie pisma i zagłębił się w niem całą duszą.

Ks. Anzelm poważnie dźwigał swe ciało po schodach wyprowadzających ze sklepu... W ręku

trzymał zabawkę akustyczną i patrzał na nią zamyślony.

— To jedna strona medalu—mówił cicho jakby sam do siebie—trzeba teraz przygotować drugą a... cud się stanie!

Zadrżał febrycznie jakby zlękły własnej myśli.

Kiedy wchodził do swego mieszkania, jakiś posłaniec oddał mu bilecik. Przeor przebiegł drobne kobiece pismo w którem stało:

„Szloma zawarł kontrakt i dał zaliczkę. Stefan Saryusz będzie dziś wieczorem. Gustaw wyjeżdża do Warszawy. Ale co najciekawsze... siostrzenica księdza proboszcza z Lipia.... *cnotliwa* p. Marya, zniknęła bez wieści—a jak sądzę pojechała za Witoldem. Czekamy cię przeorze!“

Ks. Anzelm skrzywił usta i rzekł do posługującego laika:

— Zawołaj mi tu O. Hiacynta! — trzeba urządzić misyę!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.